1951 — Nr X



POD OPIEKĄ ŚW. JÓZEFA

Na okładce: Rzeźba św. Józefa
z Dzieciątkiem, wykonana przez
Fr. Drexlera — Monachium.

Ważne ogłoszenie

Z polecenia Państwowego Przedsiębiorstwa Kolportażu „Ruch" przypominamy P. T. Odbiorcom pisma „Pod opieką św. Józefa", iż opłatę za pobieranie pisma należy uiszczać zawsze zgóry w terminie do dnia 20-go w miesiącu poprzedzającym ukazanie się pisma. Niezapłacenie prenumeraty na czas powoduje automatycznie przerwę w dostawie pisma. Dlatego w interesie P. T. Prenumeratorów leży, aby pamiętali, na jaki okres uiścili opłatę i na czas odnawiali prenumeratę.

Wpłaty należy kierować:

Państwowe Przedsiębiorstwo Kolportażu „Ruch" P. K. O. Kraków — Dział Prenumeraty Pocztowej, Wydawnictwa Religijne i Naukowe

Nr IV-9451/110

Zaznaczając na odwrocie czeku: **Na „Pod opieką św. Józefa".**

Również pobierającym miesięcznik do dalszej sprzedaży (tj. komisantom) zwraca się uwagę, aby należność bezwzględnie płacili do miesiąca od daty otrzymania miesięcznika. Niezapłacenie powoduje wstrzymanie dalszej dostawy pisma.

Reklamacje w sprawach dostawy pisma kierować na adres:

Państwowe Przedsiębiorstwo Kolportażu „Ruch"

Kraków, ul. Lubicz 42

POD OPIEKĄ ŚW. JÓZEFA

Rok VI 1951 Nr 10

MĄŻ MODLITWY

Jeśli szukać będziemy tła życia i środowiska, w którym przebywa św. Józef, spostrzeżemy, że inaczej go zobaczyć nie możemy, jak w towarzystwie Jezusa i Maryi. Bez nich trudno sobie nawet św. Józefa wyobrazić. Jego postać wznosi się na widownię z chwilą, gdy ewangelista podaje rodowód Jezusa: „A Jakub zrodził Józefa, męża Maryi, z której narodził się Jezus“ (Mat. I, 16). Wszak Bóg powołał go dla Jezusa i Maryi. Toteż w nich odkrywa św. Józef sens swego życia. Jego powołaniem stać na straży przy nich. W nich też odkrywa św. Józef duszę swego życia, albowiem w nich widzi najwyższe świętości: w Jezusie Boga, w Maryi Matkę swego Boga.

Wobec tego zawsze ciekawić nas będzie, jak daleko posunięta była rodzinna poufałość i czułość św. Józefa w stosunku do Jezusa i Maryi. Jest to teren wpływów łaski, a Ewangelia nie ukazała go nam w całej krasie i jasności. Lecz wiemy, że jeśli łaska tchnie w duszę ludzką świętą poufność względem powagi Bożej, to ta nigdy nie uwłacza szacunkowi. Toteż obok miłej zażyłości główną cechą postawy św. Józefa względem Jezusa i Maryi była postawa czci najgłębszej, nastrój ciągłej adoracji i nastawienie modlitewne. Myśl ta może budzić w nas zazdrość, iż świętemu Józefowi przychodziła z łatwością modlitwa, gdyż miał sposobność modlić się zawsze do Boga obecnego. Jezus bowiem przebywając na ziemi w widzialnej postaci pozostawał zawsze Bogiem-Człowiekiem. A przecie mimo to nie mamy czemu zazdrościć. U św. Józefa modlitwa była tego samego gatunku co i u nas: modlitwą stworzenia, które przenika świadomość obecnego Boga.

W obecności Najwyższego

Pytając się, co to jest modlitwa, mówimy za katechizmem, że modlitwa to wzniesienie duszy do Boga. Jak każde określenie rzeczywistości nadprzyrodzonej słowami ludzkimi, tak i to posiada tę nie-

wygodę, iż robi na nas wrażenie, że Bóg jest od nas oddalony, gdzieś ponad nami i trzeba się do niego wspinać. Tymczasem modlitwa w istocie swej to stawienie się w obecności Najwyższego. Bóg jest tuż. Nie, jeszcze bliżej. Bóg jest w nas. Nie potrzeba wychodzić od siebie i daleko się udawać, gdyż Bóg jest zawsze u nas „w domu". Łaska sprowadziła Jego tamże obecność. Jak św. Józef miał zawsze przed oczyma w swym domku Nazaretańskim obecnego Jezusa, tak i my nieustannie gościmy Go w swym sercu. Przeto istotnie nie jest nam trudniej się modlić, niż jemu.

Tak się modlić będziecie...

Jeśli modlitwa będąc w istocie czynnością prostą, nam jednak wydaje się trudną, chodzi tu zapewne o trudności subjektywne, które my sami stwarzamy. Zbyt skomplikowanie zabieramy się do niej. Nie my pierwsi jednak odczuwamy trudności modlenia się. Już Apostołowie obcujący z Jezusem, a zapewne niemniej i św. Józef doznawali znoju „wznoszenia się" do Boga. Pewnego więc razu prosili Mistrza: „Panie, naucz nas modlić się". Chrystus Pan zademonstrował im natychmiast sposób modlitwy, jako coś najprostszego w świecie, co nie potrzebuje wykładu: „Wy tedy tak się modlić będziecie: Ojcze nasz..." Modlitwa, jakiej pragnął nauczyć Boski Mistrz, to coś samorzutnego i tak prostego, jak rozmowa dziecka z ojcem. Jeśli w stosunku do jej odprawiania mamy jakieś trudności, to tylko dlatego, iż tkwią one w nas samych, w postaci przywiązań do ziemi, miłości własnej i nieposłuszeństwa Woli Bożej. To my sami przysłaniamy sobie różnymi przedmiotami Boga, aby Go nie widzieć.

Gdy się pragniemy przeto dobrze modlić, nie potrzeba na to szukać specjalnego miejsca, ani osobnego czasu, ni żadnych przyborów. Chcąc się modlić, można to czynić od razu, wszędzie i zawsze. Jednego tylko potrzeba: byśmy mniej myśleli samolubnie o sobie i świecie. Prawo Mojżeszowe przepisywało Izraelitom modlić się siedem razy dziennie, poddając do pomocy słowa księgi „Wyjścia". Św. Józef, jako wierny czciciel Boga spełniał zapewne dokładnie ten przepis. Przepiękna jest ta modlitwa:

„Słuchaj Izraelu! Pan Bóg nasz Pan jeden jest. Będziesz miłował Pana, Boga twego, ze wszystkiego serca twego i ze wszystkiej duszy twojej, i ze wszystkiej siły twojej. I będą te słowa, które ja dziś przykazuję tobie, w sercu twoim, i będziesz je powiadał synom twoim, i będziesz o nich rozmyślał, siedząc w domu twoim, i idąc drogą, śpiąc i wstając, i przywiążesz je jako znak do ręki twojej, i będą, i ruszać się będą między oczyma twymi. I napiszesz je na podwoju i na drzwiach domu twego" (Księga Powtórzonego Prawa, VI, 4—9).

Modlitwa skierowana ku życiu

Powyżej przytoczony tekst jest typowym przykładem, jak prawdziwa modlitwa powinna się odznaczać nastawieniem do życia. To znaczy, iż modlitwa pełna nie powinna się rozmijać z życiem codziennym, gdyż to nie jest jakaś odrębna praktyka życia religijnego, ani pewna drobnostkowa czynność, funkcjonująca obok wielu innych. Modlitwa to najistotniejszy pierwiastek życia religijnego. Z brakiem jego samo życie religijne zamiera. Jest ona bowiem wyrazem najdonioślejszych wierzeń, jak u sprawiedliwych Starego Testamentu była wyznaniem monoteizmu: „Pan Bóg nasz, Pan jeden jest". Modlitwą karmią się największe cnoty: „Będziesz miłował..." Dlatego winna być nieustanna: „będziesz rozmyślał, siedząc w domu twoim, i idąc drogą, śpiąc i wstając". Duch włada wszystkimi członkami ciała i kieruje jego czynnościami. Modlitwa owlada, przenika, ożywia i podnosi wszystkie ruchy życiowe człowieka religijnego. Stąd nie przypuszczajmy nawet, by modlitwa zdolna była przeszkadzać naszym obowiązkom stanowym. Dobrze pojęte przestawanie z Bogiem, doskonale harmonizuje z pracowitością. Spełnianiu wiernie pracy przeszkadza jedynie odrywanie się od niej dla zajęcia się sobą lub czymś stworzonym, co nie należy do pracy. Obecność zaś Boga niczemu nie przeszkadza, Bóg bowiem jest we wszystkim i wszystko podtrzymuje. Cóż więc właściwszego, jak wśród zajęć codziennych, trzymać się w obecności Boga, od której wszelkie istnienie i działanie zależy? Pismo święte radzi, abyśmy ją sobie „przywiązali do ręki".

I przeciwnie, osobom oddającym się z zamiłowaniem modlitwie niezbędne jest wiedzieć, iż potrzebna jest im praca, aby nie uległy złudom, że kochają Boga nie pełniąc Jego Woli". Jest to tylko pozór modlitwy, jeśli z nią w parze nie idzie zamiłowanie obowiązkowości. Ideałem człowieka łączącego harmonijnie ducha modlitwy i ducha pracy jest święty Józef. Jego wielkość, jego świętość, heroizm byłby niezrozumiały bez głębszego wyrobienia w życiu modlitwy. Wielkie dzieła wychodzą zawsze z pracowni ducha, w których panuje atmosfera modlitwy. Święci przechodzili zwycięsko wielkie próby, jak wewnętrzne oczyszczenia i zewnętrzna cierpienia. Zagadką ich heroicznej dzielności okazuje się zawsze modlitwa. Świętość świętego Józefa nie według innych praw się kształtowała.

Nie rozłączajmy zatem od siebie modlitwy i pracy, gdyż modlitwa i praca wzajemnie się dopełniają. Praca spełniana z dobrym nastawieniem ducha staje się modlitwą. Modlitwa połączona z pracą przyswaja sobie wszystkie wartości pracy. Jest ona zresztą także pracą jako najwznioślejsze działanie ducha ludzkiego.

O. Otto, karmelita bosy.



WIARA I NERWY

Napisano kiedyś, że prawdziwe rozwiązanie trudności psychicznych leży w zupełnym poddaniu się Chrystusowi. Znaczy to, że człowiek postępujący zgodnie z wolą bożą i całkowicie jej uległy, nie może cierpieć na nerwy. Podczas rozmowy w pewnym gronie ktoś nawet zauważył, że nie widzi żadnej potrzeby metod psychologicznych leczenia psychiki, bo Ewangelia i wiara w Chrystusa odsuwa wszelkie schorzenia nerwowe. Opinia taka jest wypowiadana przez tych, którzy sami nigdy nie cierpieli. Ten punkt widzenia stanowi udrękę dla ludzi obciążonych symptomami psychicznymi. Są chorzy nerwowo, którzy są rzetelnymi wyznawcami Chrystusa, a którzy cierpią objawy neurozy i popadają w załamanie nerwowe lub psychiczne.

Można sobie wyobrazić w człowieku chorobę dotykającą jednej tylko z jego części. Choroba jest zasadniczo niezdolnością dostosowania się do środowiska. Ciało żyje w środowisku materialnym i dla swego zdrowia musi znosić z powodzeniem napór środowiska. Dusza żyje w środowisku psychicznym innych dusz lub umysłów. Zajmuje się

nią psychologia. Sednem naszej istoty jest duch, zostający w związku z materialną stroną duszy i ciała i z duchową stroną bożą.

Prawdą jest także, że choć myślimy o troistej budowie człowieka, jest on jednością i może raczej należałoby mówić o trzech relacjach czy trojakim obliczu jednej osoby. Wynika stąd, że choroba powstająca w jednej części dotknie ostatecznie w jakiś sposób całego człowieka. Ale w dziedzinie tej współzależności jesteśmy dopiero na progu wiedzy.

Wydaje się prawdopodobnym, że choroba może powstać w jednym elemencie człowieka, a skutki jej mogą dotknąć całego człowieka. Tak, jak są choroby dotyczące ciała, tak są też choroby, które zdają się powstawać w umyśle lub duszy. Różne zaburzenia uczuciowe i instynktowe, zwane psychoneurozą, wydają się pochodzić raczej ze źródła umysłowego i fizycznego i można je uleczyć w wielu wypadkach metodami psychologicznymi. Ciało odczuwa często wpływ schorzeń umysłowych, lecz w obecnym stanie wiedzy uważamy, że w wielu wypadkach chorób umysłowych, zaburzenie pochodzi raczej od strony umysłu, a nie ze strony fizycznej.

Nie trzeba sądzić, że jest coś nie w porządku z umysłem człowieka, który złamał sobie rękę, lub że zapalenie płuc jest wynikiem choroby umysłowej. Podobnie nie można dowodzić, że choroba umysłowa wynika z nieporządku życia duchowego. Należą one do różnych poziomów bytu. Nie można też twierdzić, że zapalenie płuc pochodzi z niezupełnego poddania się Panu Bogu. Podobnie nie można mówić, że cierpiący na psychoneurozę jest w stanie nieładu ducha. Może on być duchowo nie w porządku, lecz nie musi to być źródło jego choroby umysłowej lub nerwowej. Gdyby schorzenia umysłowe wypływały z braków duchowych, to któż z nas byłby od nich wolny? Kto z nas jest doskonały? Czy wolno nam osądzać w ten sposób stan duchowy innych? W pewnych wypadkach neurozy schorzenie duchowe może być jednym z czynników podtrzymujących zaburzenia uczuciowe, podobnie jak mogą tu zachodzić przyczyny fizyczne i zdrowie można przywrócić, lecząc stan duchowy. Stan duchowy przyczynił się między innymi do stanu umysłowego, lecz nie był jedyną przyczyną załamania. Zanim pacjent odzyska zdrowie stan duchowy i umysłowy wymagają swoistych metod leczenia.

W chorym mamy do czynienia nie tylko z chorobą, ale i z jednostką cierpiącą z powodu choroby. — Dla pełnego zdrowia osobowości

trzeba, aby każdy jej składnik spełniał swe funkcje normalnie. Bóg, który powiedział „Jam jest Bogiem, który cię leczy“, dał w prawie Mojżeszowym również instrukcje dla utrzymania zdrowia ciała na podstawie fizycznej. Przewidują one dietę, ochronę przed zakażeniem, obmycia itd. Bóg działa więc przez przewody materialne i duchowe. Nie można żadnego z nich wynosić kosztem drugiego.

W neurozie zachodzić mogą inne trzy czynniki, będące poza kontrolą pacjenta. Pierwszym z nich jest dziedziczność. Mimo licznych badań wiemy na ten temat stosunkowo niewiele. Pewien procent ludzi dziedziczy konstytucję neurotyczną. Znaczy to, że mają oni osobowość mniej stałą, niż przeciętnie, i że więcej podlegają chorobom nerwowym lub załamaniu się umysłowemu. Są mniej odporni w pokonywaniu presji życia, niż ich szczęśliwsi bliźni, i wystawieni na serię jakichś nacisków prawdopodobnie się załamią. Ostatnie dwie wojny fakt ten ujawniły. Gdy wielu przeszło ciężkie warunki wojenne bez śladów choroby umysłowej, inni załamali się. Niektórzy wykazywali symptomy nerwowe przed służbą wojskową. W rodzinie ich stwierdzono łańcuch neurozy lub cięższych zaburzeń umysłowych. W grę wchodziła więc dziedziczna słabość nerwowa.

Wszyscy psychiatrzy godzą się, że dużą rolę w powodowaniu neurozy odgrywają czynniki związane z otoczeniem. Błędy w wychowaniu, brak harmonii w życiu rodzinym czy domowym, sieroctwo, brak pouczenia o ważnych faktach życia i wynikające stąd nieporozumienia, skomplikowane warunki cywilizacji dzisiejszej, tak dalekie od życia dawnego, te i inne czynniki wprowadzają załamanie w życiu uczuciowym i umysłowym jednostki. Człowiek żyje w środowisku, które z natury swojej poddaje go stale różnego rodzaju presjom i napięciom.

Starając się zrozumieć czyjeś trudności trzeba uwzględnić czynniki jego przeszłości. Nie znaczy to, że człowiek jest po prostu produktem dziedziczności i środowiska. Wiadomo jak łaska boża może przekształcać życie. Wielu startujących z obciążeniem ma wielkie osiągnięcia. — Niemniej trudno jest całkiem uniknąć reakcyj uczuciowych i umysłowych, ukształtowanych w młodości. Tak jak ciało nosi nieraz blizny dzieciństwa, tak umysł może być naruszony wpływami dzieciństwa w tym stopniu, że nie potrafi borykać się skutecznie w walce życia i staje się wcześniej czy później ofiarą nerwowego załamania. Ta tylko

zachodzi różnica, że gdy pewne rany ciała powodują stałe zniekształcenie, umysł ma większą zdolność dostosowania i zmian. W tym też leży nadzieja psychologii nowożytnej. Nie sądzimy, że umysł jest przytwierdzony do pewnych kolein. Można go reedukować. Nikt nie może zająć postawy fatalistycznej, mówiąc: traktowano mnie źle, więc teraz nie odpowiadam. Są w umyśle znaczne siły do odzyskania zdrowia, jeżeli się potrafi je odkryć, uruchomić i zastosować. Poza tym jest dla nas dostępna wielka moc w Chrystusie. On to ostatecznie leczy naprawdę, nie zawsze bezpośrednio, ale często przez narzędzia ludzkie. W powijakach jest dopiero znajomość wpływu modlitwy nie tylko chorego, ale i innych za niego. Jest rzeczą znaczącą, że w opowiadaniu ewangelicznym o uzdrowieniu paralityka powiedziano, że gdy Chrystus ujrzał ich wiarę (chorego i otoczenie) powiedział paralitykowi: Wstań, weźmij łoże twe i chodź. Ich wiarę, niekoniecznie jego samego. Są chorzy tak zdruzgotani chorobą, że wydaje się, iż stracili wiarę i zdolność modlitwy. Tu jest właśnie sposobność modlitwy dla otoczenia. Wiadomo, że istotne przyczyny zaburzeń umysłu leżą głęboko w nieświadomości, poza kontrolą jednostki. Chory jakby w ciemnościach walczył z wrogiem. Nie widzi go, dlatego nie może wejść z nim w kontakt. Powody podawane przez krewnych i przez samego pacjenta w wypadku załamania nerwowego mogą być niezupełne lub błędne, bo nie ujmują sił nieświadomych działających w głębi umysłu. Prawdą jest, że przepracowanie, troski, niepowodzenie materialne może wywołać załamanie, lecz analiza wykazuje, że były to tylko czynniki ostatnie. Od lat działały w umyśle przyczyny podminowujące zdolność oporu, i z ostatnim ciosem wstrząśnięta przedtem budowla się zawaliła. Nie ma nagłego załamania. Można zawsze wyśledzić w przeszłości serię przyczyn, sięgających często dzieciństwa, a kulminujących w chorobie nerwowej. Chory nie umie rozeznać tego, co jest poza symptomami, dlatego nie może opanować sytuacji. Wynika stąd, że nie można pochopnie osądzać chorych nerwowo lub umysłowo. Trzeba raczej starać się dobrze ich zrozumieć i współczuć im w tych ciemnych godzinach, czyniąc co można, aby ich podnieść i pocieszyć. Ponad wszystko jednak potrzeba modlitwy za nich, aby Bóg ciemności ich rozświetlił.

Ks. Dr Marian Rzeszewski

„INGRES ŻNIWIARZA“

Wspomnienia z pogrzebu Kardynała Sapiehy



Trumna ze zwłokami Kardynała na ramionach księży

W ziemskiej wędrówce odbył Kardynał Sapieha dwa triumfalne ingresy do katedry na Wawelu: ingres siewcy i ingres żniwiarza. Pierwszy ingres miał miejsce przed 40 laty, gdy obejmował katedrę na Wawelu, by siać z niej słowa prawdy Bożej. Po 40-tu latach siejby odbył drugi ingres — „ingres żniwiarza“. Spoczął w podziemiach katedry wawelskiej, by zbierać plony duchowe swej długoletniej siejby ziarna Bożego na roli serc i dusz.

W miesiącu umarłych myśl nasza biegnie ku tej świetlanej postaci Księcia Kościoła. Jak żywa staje przed nami dostojna sylwetka Kardynała Sapiehy. Nieprzeparcie cisną się na pamięć i do wyobraźni obrazy i wspomnienia z owego przedziwnego ingresu: z pogrzebu Kardynała Sapiehy.

W dniu oktawy uroczystości Matki Boskiej Szkaplerznej 23 lipca 1951 r. zakończył życie ziemskie J. Em. Kardynał Adam Stefan Sapieha. Bolesna wiadomość o śmierci lotem błyskawicy obiegła Kraków. Przed pałacem kardynalskim poczęli się zbierać wierni, by stwierdzić prawdziwość zdarzenia. Nie było już wątpliwości. Kardynał Sapieha oddał ducha Bogu. Odszedł od swoich wiernych. Żałoba okryła katolików.

Zwłoki umieszczono na katafalku w kaplicy kardynalskiej. Stąd miał Kardynał Sapieha odbyć swój pośmiertny ingres do katedry na Wawelu przez bazylikę oo. Franciszkanów i ulice miasta Krakowa — niesiony na ramionach swych wiernych...

We wtorek 24 lipca o godzinie 6.30 w kaplicy kardynalskiej ks. bp Rospond odprawił pierwszą Mszę św za

spokój duszy śp. Kardynała Sapiehy. Po Mszy św. rozpoczął się żałobny pochód do bazyliki oo. Franciszkanów. Gdy rzesze wiernych, zgromadzone na ulicy Franciszkańskiej zobaczyły po raz pierwszy trumnę ze zwłokami swego duchowego Ojca, powitały Go głośnym płaczem. O Chrystusie, Który płakał nad grobem Łazarza, powiedziano: „Oto jak go miłował" (Jan 11, 36). Podobne słowa cisnęły się na usta na widok wiernych, płaczących nad trumną Kardynała Sapiehy.

Doczesne szczątki śp. Kardynała spoczęły na okrytym purpurą katafalku w środku kościoła oo. Franciszkanów. Arcyb. E. Baziak odprawił Mszę świętą przed głównym ołtarzem.

Odkryto wieko trumny. Zmarły ukazał się oczom wiernych. Oblicze zmienione majestatem śmierci, ale drogie sercu zwiedzających.

Codziennie rano i wieczorem duchowieństwo zakonne śpiewało „Officium defunctorum". Trzykroć na dzień wszystkie dzwony z wież kościołów krakowskich wieściły czas żałoby...

Punktualnie o godzinie 18 w czwartek 26 lipca odezwał się swym żałobnym, spiżowym głosem dzwon Zygmunta, obwieszczając niezliczonym rzeszom, że ś. p. Kardynał Sapieha rozpoczął swój „ingres" z bazyliki oo. Franciszkanów do katedry na Wawelu. Wśród bicia dzwonów i potężnego śpiewu psalmu: „Miserere" posuwał się powoli kondukt pogrzebowy ulicami Franciszkańską, Bracką, Rynkiem i Grodzką ku Wawelowi...

Pochód pogrzebowy otwierał krzyż, za krzyżem przeszło 100 wieńców wdzięczności dla Zmarłego.

Za długim łańcuchem wieńców szły ósemkami siostry, dalej zakony i zgromadzenia męskie, wreszcie w białych komżach przedstawiciele duchowieństwa z całej Polski. Przed samą trumną szli biskupi polscy w białych mitrach i w czarnych kapach. Kondukt żałobny prowadził Ks. Prymas Polski: Arcyb. Stefan Wyszyński z Warszawy Czcigodny celebrans trzymał w dło-



Ks. Prymas w kondukcie pogrzebowym odmawia różaniec



Arcyb. Baziak w katedrze na Wawelu podczas mszy żałobnej

niach różaniec — widocznie modlił się za spokój duszy śp. Kardynała Sapiehy. Purpurą okrytą trumnę niosły delegacje. Z bazyliki oo. Franciszkanów wynieśli ją księża.

Tuż za trumną szedł delegat Rządu Rzeczypospolitej, dyrektor Urzędu dla Spraw Wyznań, Antoni Bida. Za nim rodzina Zmarłego, senat KUL-u z ks. rektorem Słomkowskim na czele — dalej tłumy wiernych. Rozbrzmiewała wszędzie żałosna melodia pogrzebowej pieśni: „Dobry Jezu, a nasz Panie, daj mu wieczne spoczywanie".

Gdy pochód pogrzebowy przybył do wrót katedry, trębacz stojący nad bramą powitał śp. Zmarłego Kardynała hejnałem. Po złożeniu trumny na katafalku Ks. Prymas odprawił nieszpory żałobne. Przestało bić olbrzymie serce starego Zygmunta, obwieszczając głuchym milczeniem, że czwartkowe uroczystości pogrzebowe zostały zakończone.

Na wzgórzu wawelskim zapanowała grobowa cisza... ale w sercach i duszach uczestników ciągle jeszcze odzywało się echo spiżowego głosu Zygmunta — w uszach brzmiała oddalająca się i cichnąca melodia żałosnego „Miserere". Pieśń psalmu „Miserere", dobywająca się z tysięcy piersi kapłańskich była tak potężna, tak serdeczna, że zdawało się, iż dosięgała i przebijała niebiosa, by wyjednać Miłosierdzie Boże. Był to głos bólu tysięcy, ale zarazem głos ufności..

Nazajutrz rano 27 lipca o godzinie 9-tej rozpoczęły się w katedrze główne obrzędy pogrzebowe. Ks. arcybiskup Jałbrzykowski celebrował Mszę św., a Ks. Prymas Wyszyński wygłosił przemówienie żałobne. Mówił właśnie o dwóch ingresach Kardynała Sapiehy: o ingresie siewcy i żniwiarza. W gorących słowach podkreślił charakterystyczne cechy osobowości Zmarłego jako człowieka, męża Kościoła, arcypasterza i syna Ojczyzny.

Po kazaniu 4-rej biskupi z Ks. Prymasem odśpiewali przy trumnie *castrum doloris*. Potem ruszył kondukt pogrzebowy przez bramę południową na dziedziniec wawelski i przez główną bramę wszedłszy do katedry zatrzymał się przed konfesją św. Stanisława. Tutaj w grobowcu biskupów krakowskich miał spocząć śp. Kardy-



Na miejsce wiecznego spoczynku

nal Sapieha. Ks. Prymas odśpiewał ostatnie Kyrie eleison i Pater noster, polecając duszę śp. Zmarłego modlitwom wiernych. W końcu rzucił na trumnę grudkę ziemi i zaintonował: Salve Regina. Pieśń tę podchwycili księża i wierni. Trumna śp. Kardynała zniknęła w podziemiach. Padły za nią rzucone kwiaty. Dało się słyszeć głośne szlochanie i płacz..

Ceremonie żałobne zakończone. W katedrze rozległ się jeszcze głos Prymasa Polski: „Za dusze królów polskich, spoczywających w tych kryptach, zmówmy Ojcze nasz, Zdrowaś Maryjo i Wieczne odpoczywanie". Wszyscy odmówili te modlitwy chóralnie. Ktoś z duchowieństwem zaintonował Anioł Pański. Wszyscy odśpiewali tę tradycyjną modlitwę żałobną. Potem nastała cisza...

Tak odbył ś. p. Kardynał Sapieha swój „ingres żniwiarza" do katedry na Wawelu

Niech odpoczywa w pokoju wiecznym! *O. Michał,* karmelita bosy.

PRZYJAŹŃ CHRZEŚCIJAŃSKA

„Wy jesteście przyjaciółmi moimi" — (Jan, 15).

Najzaszczytniejszy to tytuł, jakim obdarzył Chrystus apostołów, a zarazem największa łaska. W Starym Testamencie Bóg był tylko groźnym Jehową, który ukazywał się Izraelitom w trzasku piorunów i blasku błyskawic. Jezus przyniósł na ziemię tę radość możną, że Bóg jest przyjacielem człowieka, że człowiek może żyć z nim w przyjaźni. Ta ogromna rewolucja pojęć o stosunku Stwórcy do stworzenia miała nas przybliżyć do Boga, udoskonalić nas, abyśmy wypełniali prawo Boże nie z bojaźni, ale z miłości. Wszystko, co jest miłością z Boga jest. W tej samej mowie, w której Jezus zwał Apostołów Swoimi przyjaciółmi, napomina ich: „To jest przykazanie moje, abyście się wzajemnie miłowali..." (Jan, 15).

Przyjaciele Boga muszą być między sobą przyjaciółmi. Wszystkich ludzi mamy obdarzać miłością, ale tylko z niektórymi łączy nas przyjaźń. Przyjaźń uważana była już w starożytności za rzecz szlachetną i piękną.

Ale dopiero w chrześcijaństwie została uświęcona.

Św. Paweł Apostoł pozostawił nam piękny przykład przyjaźni chrześcijańskiej. Obejmował swoim apostolskim sercem wszystkich wiernych, ale miał też swoich najbliższych przyjaciół, których tak serdecznie nazywa w swoich listach „towarzyszami broni", „sercami", „najmilszymi braćmi". Jego najserdeczniejszym przyjacielem był Onezym — niewolnik. Bo u Pana nie ma względu na osobę — pisał w swym liście

do Kolosan. Chrześcijaństwo może się poszczycić pięknymi przykładami przyjaźni, świętej, bezinteresownej, związanej czymś więcej, niż przywiązaniem ludzkim, bo łaską i miłością — Przyjaciela przyjaciół Chrystusa. Przyjaźnili się ze sobą wielcy doktorowie Kościoła — Ambroży, bp mediolański i Augustyn — bp Hippony, przyjaźnił się św. Franciszek z Assyżu z św. Klarą.

Na czym polega przyjaźń? Na wzajemności uczuć, na wspólnym celu życia, na wspólności zainteresowań.

Wzajemność uczuć jest nieodzowna tam, gdzie ma być przyjaźń, Miłość może być bez wzajemności i będzie miłością, ale o przyjaźni tego powiedzieć nie można.

Przyjaciel przyjacielowi musi z siebie dawać jak najwięcej. Celem przyjaźni jest świadczenie dobrze przyjacielowi. Współzawodnictwo w okazywaniu przyjaźni — oto cecha prawdziwych przyjaciół.

Nie może być przyjaźni tam, gdzie istnieje rozbieżność celów i zainteresowań. Z przyjacielem trzeba mieć wspólny język. Trzeba kochać to, co on kocha i mówić o tym, o czym on mówi. Dlatego przyjaciół nigdy nie może być zbyt wiele, ażeby przyjaźń nie spłyciła się i nie zatraciła swoich istotnych cech. Ale nie wszystko to jest przyjaźnią, co za przyjaźń uważamy, i nie każdy jest przyjacielem, którego tak tytułujemy. Przyjaźń interesowna na ogół kończy się przy najbliższej próbie życiowej. Trwa tylko przyjaźń, w której przyjaciele dobrze życzą i czynią sobie nawzajem. Zachowała się ładna tradycja o życiu krakowskiego profesora i kanonika — św. Jana z Kęt. Miał on serdecznych przyjaciół, którzy z nim razem tworzyli kochające się towarzystwo. Razu pewnego jeden z nich, profesor akademii, przysłał Janowi z Kęt koszyk pięknych jabłek, Jan Kanty odesłał jabłka drugiemu swojemu przyjacielowi, a ten znów następnemu i tak dalej, aż jabłka poprzez pierwszego ofiarodawcę trafiły znów do św. Jana.

Dobrze jest, gdy przyjaźń łączy kilka serc. Ale w wyborze przyjaciół trzeba być ostrożnym. Wszak i Judasz przyjacielem nazywał się Chrystusa, całował Go, by oddać w ręce wrogów. Takich Judaszów nie braknie. Pocałunkiem obłudnym, interesownym kalają największą świętość, jaką jest przyjaźń. Przyjaciela po tym poznać, że możemy się od niego czegoś dobrego nauczyć. I tylko wówczas, gdy przyjaciel może nas uszlachetniać, utrzymujemy z nim przyjaźń.

Przyjaźń, która prowadzi do grzechu, do kieliszka, do złodziejstwa, do wyzysku i oszukania bliźnich, do karciarstwa, do nałogu nieczystości, do sprosności w mowie, do kłamstw i fałszu nie jest przyjaźnią. Jest owym pocałunkiem zakłamanej przyjaźni judaszowej. Nie ma też przyjaźni między mężczyzną a kobietą, jeżeli wspólnie grzeszą. W chrześcijaństwie nawet najwięksi święci i święte przyjaźnili się ze sobą, jak wspomniany Franciszek z Assyżu i św. Klara, ale taką przyjaźń musi łączyć miłość Boża. Są chwile, w których ciężko nam, smutno i niespokojne są serca nasze. W takich chwilach przyjaciel podnosi, krzepi, naprowadza na drogę nadziei i radości. Biada człowiekowi, który nie ma przyjaciół. Taki człowiek podobny jest do samotnej sosny, stojącej na piaszczystej wydmie.

Schiller, poeta i dramaturg powiada, że gdyby nie miał przyjaciół, to chwytałby i obejmował skały górskie, aby w nich znaleźć serce i oparcie.

Przyjaciela dobrego łatwo poznać. Nigdy nas nie zawiedzie na manowce, nie doprowadzi do grzechu; przeciwnie, swoim przykładem, swoją radą dobrą, tą błogosławioną radą, przez którą często przemawia Bóg, ostrzeże nas przed upadkiem, wprowadzi nas na drogę prawdy i cnoty. Gdy będziemy powaleni grzechem, unurzani błotem nieprawości, gdy jak Joba sprawiedliwego pokryją wrzody grzechów, przyjaciel nie porzuci, nie potępi, nie odwróci się, jak wielu innych, ale podniesie, rany zawiąże, uzdrowi.

Piękna jest rola przyjaźni. Tej przyjaźni, która będzie służbą wierną przyjaciół. Nasz wielki wieszcz i poeta Adam Mickiewicz potrafił w imię

POŚREDNICZKA

Poniżej tronu Bożego, ale najbliżej do niego wyniesiona stoi Maryja. Błagalny Jej głos nie może mieć tej siły i odwagi, co głos Jej Syna, ale przewyższa on niezmiernie mocą wypraszania miłosierdzia Bożego wszystkich zbawionych i aniołów, nawet razem wziętych. Bliższa nas niż Boga jako stworzenie, jest Ona jednak bliższa Boga niż nas jako Niepokalana i to sprawia, iż Jej głos jest tak miły Bogu, iż mu niczego nie może odmówić.

O. Woroniecki: „Macierzyńskie Serce Maryi".

przyjaźni zwyciężyć swoją niecierpliwość i czuwać miesiącami przy łóżku umierającego przyjaciela i poety Garczyńskiego.

Przyjaźń w dniach radości pozwala cieszyć się z cieszącymi, w dniach płaczu płakać z płaczącymi.

O taką przyjaźń starajmy się. Taką przyjaźń uświęcajmy modlitwą, pamiętając w niej zawsze o przyjaciołach, za których mamy obowiązek się modlić. Takiej przyjaźni Bóg zawsze błogosławi, umacnia ją i uświęca.

Zbigniew Zielonka.

Z EWANGELIĄ W RĘKU — X

ZE SŁUŻEBNICĄ BOŻĄ

„Posłan jest Anioł Gabriel od Boga do miasta Galilejskiego, które zwano Nazaret, do Panny poślubionej mężowi, któremu było Józef z domu Dawidowego, a imię Panny Maryja. I wszedłszy do niej Anioł rzekł: Bądź pozdrowiona łaski pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś ty między niewiastami. A ona gdy posłyszała, zatrwożyła się na słowa jego i rozważała, cóż by to było za pozdrowienie. I rzekł do niej Anioł: Nie lękaj się Maryjo, albowiem znalazłaś łaskę u Boga! Oto poczniesz i porodzisz Syna i nadasz mu imię Jezus. Ten będzie wielkim i Synem Najwyższego nazwany będzie. I da Mu Pan Bóg stolicę Dawida, ojca Jego i będzie królował nad domem Jakubowym na wieki, a królestwu Jego nie będzie końca. A Maryja rzekła do Anioła: Jakże to się stanie, skoro męża nie znam? I odpowiadając Anioł rzekł jej: Duch Święty zstąpi na cię i moc Najwyższego cię zacieni. Przeto i co się z ciebie narodzi święte, Synem Bożym będzie nazwane. A oto Elżbieta, krewna twoja, i ona poczęła dziecię w starości swojej, a jest to już szósty miesiąc dla tej, którą zowią niepłodną, bo nie masz nic niemożliwego u Boga. I rzekła Maryja: Otom ja służebnica Pańska, niechaj mi się stanie według słowa Twego. I odszedł od niej Anioł" (Łuk., I, 26—38).

Miasteczko Nazaret, w którym rozegrała się ta scena rozłożyło się na słonecznych wyżynach Galilejskich, przecięte było parowem, obfitowało w wodę źródlaną, co jest wielkim skarbem na Wschodzie. Dokoła rosły drzewa cytrynowe, migdałowe, oliwne, figowe, granatowe i kaktusy. Bujna roślinność nadawała okolicy charakter wesoły, nic dziwnego, że osiedle tam zbudowane z latami — nazwano Nazaret, czyli mia

sto kwitnące. Daleko rysowały się szczyty górskie. Wszędzie panował spokój, miasto leżało z dala od gościńca i nie brało udziału w życiu handlowym. Domki szare, niskie, ubogie przylegały przeważnie do skał i licznych pieczar.

Takim też musiał być dom Maryi, w niczym niepodobny do pięknych portyków malowanych przez artystów odtwarzających scenę Zwiastowania. Później w miejscu tego domku powstał wspaniały kościół Zwiastowania, a w nim na marmurowej płycie wyryte były słowa, których nikt bez wzruszenia czytać nie może: „Hic Verbum caro factum est". „Tu Słowo stało się Ciałem".

Scena zwiastowania rozegrała się jeszcze przed zaślubinami Maryi. Najśw. Panna była dopiero zaręczona Józefowi. Narzeczeństwo wówczas trwało około roku i uważane było jakby ślub, dlatego Ewangelista pisze: panna poślubiona Józefowi. Narzeczeni mieszkali osobno. O ile narzeczony odkładał zaślubiny pannie przysługiwało żądać listu rozwodowego, który ją czynił wolną; gdy narzeczony umarł, narzeczoną uważano za wdowę.

Zwiastowanie nastąpiło z wiosną, prawdopodobnie w czasie wieczornej modlitwy, którą Maryja wedle tradycji przeciągała do późnej nocy. „Jest to scena — pisze bp Teodorowicz, w której się począł najwyższy akt dziejowy utkany z wysiłku miłości Bożej i współudziału stworzenia". W scenie tej przedstawia się nam Maryja jako czysta i dziewicza, pokorna i uniżona służebnica Pańska; matka, która w radości wyśpiewa potem Magnifikat; poetka, a zarazem myślicielka, odważająca każde słowo, a w uczuciach najpotężniejszych wylana.

Widzimy Ją żyjącą wolą Bożą, dzięki temu „najpierw — wedle słów tego samego pisarza — Maryja poczęła Chrystusa wolą swoją i duszą, zanim Go poczęła ciałem". Maryja tak doskonale jest zjednoczona z tą Najśw. Wolą, że nie dała się porwać ani oszołomić nadzwyczajnym zdarzeniem, pokornie zaniepokojona jest wyniesieniem, przeczuwając, że za tym się kryje coś bardzo wielkiego. Uchyliła się przed nią zasłona wieczności. Misja anielska wydobywa z niej okrzyk, który dowodzi jak umiłowaną cnotą jest dla niej dziewictwo: „Jak to się stanie"? I dopiero, gdy anioł ją uspokoił, wypowiedziała wiekopomne słowa: „Niech mi się stanie wedle słowa Twego"!

Słowo Odwieczne zaślubiło ludzkość, tajemnica Wcielenia i Zbawienia naszego dokonana.

Ta scena jest tak wspaniała, tak wielka w swej treści, a tak zarazem pełna czaru, że i malarze i poeci brali ją chętnie za przedmiot swych arcydzieł. Kościół katolicki także o żadnej tajemnicy nam tak często nie wspomina jak o Wcieleniu. Rano, w południe i wieczór dzwony nawołują do uczczenia tej chwili, gdy „Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi i poczęła z Ducha Świętego". Dzień 25 marca jest poświęcony

temu zdarzeniu, przez cały zaś adwent czyta się tę Ewangelię w czasie Mszy roratniej, a środa suchychdni grudniowych cała ofiarowana tej tajemnicy. W oficjum małym na cześć Niepokalanej przez cały adwent czytamy w lekcjach jutrzni opowiadanie o zwiastowaniu. Kościół pragnie, by ta tajemnica była uwielbiana, by dusze znajdowały w niej siłę i wzór do pełnienia Woli Bożej, podnietę do naśladowania Maryi.

I rodzice znajdą w tej scenie wiele dla swego życia. Ileż to razy staje przed nimi wymaganie Boże, którego nie rozumieją, które zdaje się przewyższać ich siły. Uspokoić się trzeba na wzór Maryi, przedstawić pokornie swoje trudności, i ufnie z gotowością, pełną miłości powtórzą: niech się stanie, bośmy tylko sługi Pana. Ale na takie niezwykłe chwile trzeba się sposobić codziennie w wiernej modlitwie pełnej skupienia.

Pokora Maryi jest ustawicznym memento, że w życiu rodzinnym ona jest fundamentem spokoju i zgody. Jeżeli Najświętsza z Świętych uważała się za sługę, to czyż i rodzice nie są na usługach Stwórcy, czy i oni nie powinni z miłością przyjąć nowe życie, bez względu jakie to pociągnie za sobą trudy i cierpienia? A cóż wobec pokory Maryi powiedzą nasze ambicyjki i dopominanie się szacunku i oznak czołobitności? Pokora to fundament ufności i wiary, rodzina, w której brak tych cnót staje się wylęgarnią występków. Mogą być upadki, bośmy ludzie, ale w świetle wiary staramy się je naprawiać, gdzie zaś wiary nie staje — zło nauczy cynizmu i oswojenia się z grzechem. Czy scena zwiastowania nie ukazuje nam wielkość wiary u Maryi?

Maryja usłyszała głos Anioła, bo była pełna łaski, my nie możemy być tak pełni łask, ale obowiązuje nas stan łaski, kto zaś nieszczęśliwie stracił go, powinien zaraz przez szczerą skruchę i Sakrament Pokuty wrócić do praw dziecka Bożego, a wtedy łatwiej usłyszy głos Boży. Czy dbamy o stan łaski u dzieci? A przecież daliśmy życie, by razem z dziećmi wielbić Boga po wieki. Prośmy Dziewicę pełną łaski, by nam wyprosiła gorliwość w tej materii.

Maryja od chwili wcielenia stała się odpowiedzialną za nasze dusze, doskonale to rozumiała, że staje się matką Chrystusa mistycznego, o tę odpowiedzialność muszą starać się rodzice, bo to poczucie da im potrzebne siły w wychowaniu.

Jeszcze jeden rys uderza nas w zwiastowaniu, oto pokrycie tego wielkiego zdarzenia milczeniem. Maryja nie wspomina o tym nawet Józefowi, choć ten chce ją opuścić i cierpi niewymownie, — ufa, że Bóg sam to wyjaśni, a ona ma strzec tajemnicy królewskiej. O ileż by więcej było harmonii w rodzinie, gdyby umiano więcej milczeć, milczeć nie tylko na modlitwie, ale i w ciągu dnia. Nie usprawiedliwiać się, nie uniewinniać, nie wysnuwać zbyt dalekich wniosków dzięki bujnej wyobraź

ni, ale w milczeniu niejedno przemyśleć i zachować dla siebie. Kto umie w duszy rozmawiać z Bogiem, — ten umie milczeć, gdy potrzeba, ale aby nauczyć się rozmawiać z Bogiem, trzeba cenić milczenie.

Kościół czytając w adwencie Ewangelię o zwiastowaniu, chce nas nauczyć tęsknoty za Zbawicielem, która jest dominującym uczuciem w liturgii adwentowej, a która w sercu Maryi rosła w miarę zbliżania się do Betlejem. Rodzice chrześcijańscy budzą tę tęsknotę w sercach dzieci (o ile ją sami odczuwają) ukazując im piękno wcielenia. Tęsknić musimy za ostatnim przyjściem Chrystusa, o którym czytamy w I-szą niedzielę adwentu. Tęsknota ta złączona ze zbawienną bojaźnią sądu, strzeże nas przed ciężkimi upadkami. Ale jest i tęsknota za przyjściem Zbawiciela w Komunii świętej i tej uczy Najśw. Dziewica, a Komunia święta to dla nas powtórzenie tajemnicy wcielenia. Z Maryją uczmy przygotowywać się do niej skupieniem i modlitwą, miłością i wiarą, gorącą tęsknotą i pragnieniem. Pragnąć mamy Jezusa nie tylko dla siebie, ale by móc go innym dawać i w ten sposób przyspieszyć chwilę, o której Anioł mówił Maryi: „a królestwa Jego nie będzie końca".

To się musi dokonać przez nas, każda rodzina katolicka stawia sobie to za cel jedyny, jeżeli chce z Maryją żyć i Ją naśladować. Tam gdzie Ona jest Panią domu, gdzie Ona dyktuje i tłumaczy Wolę Bożą, gdzie Ją się czci codziennym Pozdrowieniem Anielskim czy to w różańcu, czy powtarzając słowami za głosem dzwonu Anioł Pański, tam będzie radość, tam będzie cnota i pokój Boży.

„A Słowo Ciałem się stało i mieszkało między nami".

S. Barbara Żulińska.

DZIECKO, CZY... PIES

W jednym periodyku francuskim pojawił się dziwny obraz. Przedstawiał on kondukt pogrzebowy. Dwa wspaniałe konie ciągną nie mniej wystawny wóz żałobny, a na nim pokryta czarnym całunem — trumna. Za wozem, któż to postępuje? Starannie uczesany... pies. Pies i nikt więcej.

A teraz zdarzenie, przytoczone przez Bpa T. Tótha w jednym ze swoich kazań o „małżeństwie": Wypadek miał miejsce w Berlinie Urzędnik cywilny stwierdził, że zainteresowane strony wzięły ze sobą rozwód, że są już wolne. Jedna jeszcze była trudność. Komu przyznać... pieska, pupilka tak pana, jak i pani. Po długich pertraktacjach sędzia orzekł, że pies należy do męża, a żona ma prawo, raz w tygodniu, przez 4 godziny pospacerować z pieskiem i popieścić się nim do woli.

I jeszcze jeden ciekawy fakt z dziedziny statystycznej. Z małżeństw rozwiedzionych jest 50% bezdzietnych, 25%, które miały jedynaków, w końcu 25%, które miały więcej, niż jedno dziecko.

Co z tego wszystkiego wynika?

1) Jakże bezowocnym, pożałowania godnym jest życie człowieka, który nie wypełnił swego celu, wyznaczonego mu od wieków przez Pana Boga. Któż opłakuje takiego człowieka po śmierci? Żona, z którą się rozwiódł? Dzieci, których nie miał? Nikt.. Przepraszam... pies.

2) Ludzie, którzy zamiast pełnić Wolę Bożą, zaczynają pełnić swoją wolę, dochodzą do absurdalnych wyczynów, a umysł ich wypaczony schodzi na manowce błędów.

3) Małżonków najmocniej łączą ze sobą słabe rączęta dziecka, ich dziecka. A im tych rączek więcej, tym węzeł małżeński staje się mocniejszy.

Wybiła już stanowcza chwila, aby raz na zawsze na miejsce wypieszczonych psów, w rodzinach znalazły się dobrze wychowane, zahartowane dzieci. Tego wymaga Bóg, Ojczyzna, dobro małżonków i samych dzieci.

W Kodeksie Kanonicznym, który jest wykładnikiem prawa Bożego i kościelnego czytamy w kan. 1013 par. 1, co następuje: „Celem małżeństwa pierwszorzędnym jest płodzenie i wychowanie potomstwa; drugorzędnym zaś pomoc wzajemna udzielona sobie przez małżonków oraz uśmierzenie pożądliwości ciała“. W tych słowach wyraźnie jest wyłożona Wola Boża wobec rodzaju ludzkiego.

„Rośnijcie i pomnażajcie się i napełniajcie ziemię“ (Rodz. 1, 28). Czy wszystkie młode małżeństwa myślą o tym celu? Czy przypadkowo ich jedynym celem nie jest tylko użycie? Takie postępowanie strasznie mści się na tych ludziach. Węzły małżeńskie nie wsparte modlitwami dziatek, przeciwnie, z braku ich, trzeszczą, załamują się. Choć w rzeczywistości małżeństwo raz ważnie zawarte, obowiązuje aż do śmierci jednego z małżonków, oni nie zważają na to. Mąż ma już dość żony, postarzała się, jakże smutno, cicho w domu. Porzuca ją. A ona bezdzietna, rzucona na pastwę losu, zazdrości potajemnie koleżankom, z których kiedyś się śmiała, że mąż ich kocha i dzieci, dużo dzieci. — A przyjdzie czas, gdy i mąż się opamięta, ale do czego wróci? Gdzie znajdzie radość? Każde spotkanie dziecka będzie mu wyrzutem: kogo zostawisz po sobie na świecie, kogo uszczęśliwiłeś, kogoś przyodział, wychowałeś?

— Gdy się pobierzemy — umawiają się narzeczeni — pozwolimy sobie na jedno dziecko. Tak, jedno dziecko. Druga plaga społeczeństwa po małżeństwach bezdzietnych — jedynaki.

— Na więcej dzieci nie możemy sobie pozwolić, bo nie mamy pieniędzy — słyszymy wymówkę.

Przypatrzmy się, kto ma najwięcej jedynaków. Czy rolnicy, robotnicy? Przecież to ludzie najbiedniejsi. Przeciwnie, oni dostarczają państwu najwięcej obywateli.

Małżonkowie zaś ci, którzy wybudowali sobie już 3 kamieniczkę, którzy się wożą autem od Zakopanego do Krynicy, a z Krynicy do Gdyni nie mają pieniędzy na... dziecko. Biedni, ale duchowo.

Czy rzeczywiście są oni szczęśliwi ze swoim jedynaczkiem? Ale gdzież tam. Ciągła troska o jego zdrowie, o jego powodzenie, nie pozwala im nawet spokojnie spać. Jedynaki też to zły element społeczeństwa, to najwięksi egoiści. Brakuje im ducha poświęcenia, miłości, jakim odznaczają się dzieci z wielodzietnych rodzin. Ileż radości, wesela odbierają rodzice jedynakom, nie dając im braciszka czy siostrzyczki.

Kiedy mowa jest o dzieciach, trudno nie powiedzieć o spędzaniu płodu, o tym największym występku w obecnych czasach. Kościół stanowczo występuje przeciw temu, powiadając w kodeksie, że wszyscy, nie wyłączając matki, którzy spędzają płód, podlegają przez to samo, z chwilą, w której skutek nastąpił, ekskomunice (latae sententiae) zastrzeżonej Ordynariuszowi. (kan. 2350 § 1).

— Ale cóżmy mieli zrobić — usprawiedliwiają się małżonkowie — już tyle dzieci.

Jest na to tylko jedno wyjście: wstrzemięźliwość. Innego wyjścia nie ma. Kościół wymaga od małżonków tyle zaparcia, aby umieli się w razie wypadku tego lub innego (np. choroba żony) wstrzymać od intymnego współżycia, nie szukając równocześnie poza małżeństwem zaspokojenia swych popędów.

Ojczyzna dzisiaj więcej niż kiedykolwiek potrzebuje zdrowych, chrześcijańskich rodzin, wielodzietnych.

Niech ten obrazek z periodyka francuskiego będzie u nas w Polsce tylko fantazją malarską, a zarazem groźnym „memento“ iż gdyby się stał i u nas rzeczywistością, gdyby po naszych rodzinach miały zostawać tylko psy, to wkrótce rozdrapią nas kruki i wrony.

Bożena Mirska.

„GODŁO ZBAWIENIA"

Krzyż musi być jasny,
żeby mógł prowadzić!
(Joanna).

Krysiątko drogie!

Bóg Ci zapłać za Twe dobre słowa. Żądasz, coprawda dość wiele wzamian Ale też bezwiednie uderzyłaś w struny, na które jestem może szczególnie wrażliwy. Wmyśleć się razem w symbolikę znaku krzyża... Takiej prośbie nie łatwo jest uczynić zadość... Ale też nie podobna się jej oprzeć...

Zechciej jednak pamiętać o tem, że to już wykracza poza ramy „sprawozdań wędrowca". Symbolika krzyża posiada wymowę wszechstronną, wielowymiarową, ale zawsze nadrzędną. Jak Ci już powiedziałem w poprzednim liście: niepodobna jej zmonopoilzować na rzecz jakiegoś szczególnego kierunku, indywidualnego powołania. Ale może właśnie dlatego... warto... Tak, ażeby znak krzyża unosił się ponad wymową wszystkich naszych rozważań jak znak syntezy małżeńskiej świętości z całością świętości mistycznego Ciała.

Gdy czytałem Twój list, ujrzałem nagle tak konkretnie i plastycznie jak gdyby istotnie stała przede mną młodziutka postać... i oczy ciemne, głębokie, świetliste... tak świetliste, iż chyba równego im blasku nie widziałem w niczyich innych oczach. Nie znałaś Krysiu, ..Joanny. Nie mogę odżałować, żeś jej nie znała. Trzynastoletnie dziecko, które zabrała heroiczna — śmiało chyba rzec można — męczeńska śmierć. Dziecko, ale — chyba też, śmiało rzec można, ...święta... O której, jeśli zdołamy to wymodlić, z pewnością będzie kiedyś głośno na świecie...

A Joanna dlatego zjawiła się przede mną w chwili, gdym czytał Twój list, że to jej właśnie zawdzięczam to rewelacyjne zdanie: „Krzyż musi być jasny, żeby mógł prowadzić".

Jasny... Czy tylko w sensie światła, blasku, apoteozy?... Bez wątpienia. Ale również w sensie „wyjaśnienia, zgłębienia i zrozumienia jego wszechstronnej wymowy, jak dotąd chyba zbyt jednostronnie interpretowanej.

Krzyż w pojęciu ogółu katolików (więc cóż dziwnego, że również i niekatolików, którzy wszak od nas czerpią wiedzę swą o naszej wierze — to wyłącznie synonim męki Krzyż, to cierpienie, które trzeba przyjąć z rezygnacją, brzemię, pod którym upadamy, znak zatknięty na grobach pomordowanych nadziei... Krzyż — to symbol rozdarcia ludzkiej natury, antynomii ciała i duszy, przyrodzoności i nadprzyrodzoności. Krzyż o dwóch przekreślających się nawzajem przecznicach, w którym górny pęd prostopadłej rwie się ucięty linią poprzecznej, która z kolei bytuje w bolesnym oderwaniu od swego pola matematycznego, zawieszona w próżni, gotowa w każdej chwili spaść ciężko ku dołowi. Krzyż — to jakiś martwy znak zaprzeczenia wszystkim prawom życia, i tym, co sięgają ku górze i tym, co po ziemi stąpają.

Jeśli my, przez krzyż odkupieni, w ten sposób tylko potrafimy interpretować jego wymowę, to cóż dziwnego, że nie-katolicy religię naszą zwą religią cierpiętnictwa?...

A gdzież jest krzyż — „Spes Unica?"... Krzyż, którym winniśmy zaczynać i kończyć każdą chwilę i każdą czynność w wymiarach rzeczywistości ziemskiej, organicznie wzrastającej w rzeczywistość nadziemską, tworzącej z nią całość nierozerwalną?... Krzyż, do którego ta rzeczywistość przylgnąć musi bez reszty, ażeby mogła znaleźć wreszcie ten punkt oparcia, którego szukał Archimedes, by ruszyć z posad ziemię?... Krzyż — zbawczy znak odkupienia, o prostopadłej wystrzelającej

ku niebu i poprzecznej równoległej do wszystkich spraw tej ziemi?... Krzyż, w który układa się ciało ludzkie o głowie wzniesionej ku Ojcu w niebiesiech, a ramionach szeroko rozwartych na przyjęcie wszystkiego, co człowiecze? Gdzież jest krzyż żywota, najdoskonalsza synteza wszystkich radości, co nie są tylko uciechą i wszystkich boleści, co nie są tylko zamieraniem? Krzyż, zapowiedź chwały ostatecznych zwycięstw szczęścia nad rozpaczą i grzechem?... Gdzież jest krzyż, o którym już Ojcowie Kościoła mówili, że jest znakiem uniwersalnym spinającym ze sobą cztery strony świata? Od zapowiedzi wschodzących blasków, do wypełnień zachodu, od żarów południa, od cieniów północy, od bieguna, do bieguna, od równika, do równika, — ziemię z niebem i duszę z materią?... Krzyż, gdzie w punkcie przecięcia wszystkich pozornych sprzeczności, tkwi poręka nierozerwalnego spojenia dwu przecznic: gwóźdź — strzała mistyczna o mocy niezbadanej: Łaska Pana Wszechrzeczy.

Najbardziej odkrywcze może światło na wielostronne znaczenie znaku krzyża, rzucają tajemnice Różańcowe. Być może dlatego Różaniec jest nam tak bardzo potrzebny. Już sam układ Różańca tworzy sobą jakby znak krzyża. Tajemnice radosne, to niby prostopadła wystrzelająca z ziemi do nieba. Do nich niby przecznica rozpiętych nad globem ramion Odkupienia — przywierają tajemnice Bolesne. Nad nimi, niby ta część prostopadłej, która przecznicę przerasta i przezwycięża wznoszą się tajemnice chwalebne.

Znak Krzyża, którym winniśmy zaczynać i kończyć każdą chwilę rzeczywistości ziemskiej przez krzyż odkupionej, zaczyna i kończy każdą cześć Różańca. Różaniec ma formę kolistą wieńca opasującego sobą kulę ziemską na której zatknięty tkwi krzyż. Tajemnice Różańcowe opasują wieńcem całą rzeczywistość prawdy ludzkiej, zbratanej w syntezie krzyża z prawdą Boską. Różaniec jest wieńcem z róż, jak wszystkie róże — kolczastych. Mówimy wprawdzie w tajemnicach radosnych, bolesnych i chwalebnych, ale właściwie to splatają się one ze sobą, tak jak radość, męka i ekstaza splatają się w każdym życiu ludzkim przez krzyż odkupionym. Już róże tajemnic radosnych wykwitają tuż obok cierni. Magnifikat niesie się ponad grozą przepowiedni Symeonowych, anielska pieśń o „ludziach dobrej woli" rozbrzmiewa i nad tymi, którzy miejsca dla Nich nie mieli w gospodzie", stajnia bydlęca staje się prototypem tabernakulum, za pokłonem Mędrców czai się cień Heroda, ziemię ledwie uświęconą zstąpieniem Boga Wcielonego zaleje krew niewiniątek, radość odnalezienia świątyni musi poprzedzić i wybłagać trzy dni męki śmiertelnej dwojga najczystszych serc.

A znów w tajemnicach bolesnych, ponad ostrze kolców ciernistej korony, ponad stalowe rózgi biczowania ponad miecz wbity w serce matki i włócznię otwierającą serce Syna — wykwitają purpurą boskiego przepychu róże Ran Chrystusowych. Róże wonne radością Odkupienia, ekstazą zapewnionego zwycięstwa.

Tajemnice chwalebne wznoszą się u szczytu różańcowego krzyża, spinają niebo z ziemią z jej radościami i jej bólem. Róże rosną, wybujałe i coraz bardziej nadziemskie. Ale są też i kolce. W poranek Zmartwychwstania jest „Noli me tangére" — bom jeszcze nie wstąpił do Ojca"... Po Wniebowstąpieniu i Wniebowzięciu jest smutek osieroconych Apostołów. W szumie wieczernika i płomiennych językach jest zapowiedź nie tylko triumfów, ale bojowych zmagań i heroicznych męczarni Kościoła wojującego. Dopiero w tajemnicy ostatniej, tej która zakańcza Różaniec i wypełnia treść doczesności spod znaku Odkupienia, pozostaje już tylko gloryfikacja Krzyża, niematerialna, nadziemska, wyzwolona z drewna i stali i kolców i krwi.

W każdej z tajemnic Różańcowych odnajdujemy znak krzyża. Znak krzyża tworzy postać Archanioła Zwiastuna o rozpostartych skrzydłach, w znak krzyża układają się ramiona Maryi rozwarte na przywitanie Elżbiety i rącz-

ki Dzieciątka Jezus prężącego się w żłobie i błogosławiące zbawienie świata, uniesione w ekstazie ręce Symeona i — rozkładane w podziwie nad mądrością dwunastoletniego chłopaczka — ręce doktorów w świątyni. A potem jest krzyż, który już w Ogrojcu tworzyło sobą Ciało Najświętsze o dłoniach odsuwających kielich goryczy i przyciągających moc spełnienia Woli Ojca. A w końcu krzyż Golgoty, drzewo żywe, odcięte od ziemi i obciosane, aby znów w ziemię wrosnąć i wystrzelić ku niebu konarami żywych ramion, poślubiony żywemu kształtowi człowieczego ciała, ożywający na nowo, cudotwórczym obiegiem krwi, rozgrzany jej ciepłem do nowego życia. Ten krzyż, już nie obraz, ale treść sama przyrody wysublimowanej Łaską.

Znak krzyża ciągnie się dalej i poprzez tajemnice chwalebne. Jest krzyż promienny wschodzącym słońcem wielkanocnego poranka, którym Magdalena o rozwartych w ekstazie ramionach powitała pogrom piekielnych bram. Jest krzyż rozpostartych nad ziemię ramion Wstępującego do nieba i Wniebowziętej. I unoszący się nad głowami krzyż skrzydeł Ducha miłości i mocy. I krzyż rąk Ojca Niebieskiego błogosławiących w niebie koronie Królowej Zwycięskiej.

Gdybyśmy umieli wpatrzyć się i wmyśleć w każdą z tajemnic różańcowych, rozumielibyśmy może lepiej wszechstronną, niewyczerpaną wymowę znaku krzyża. Wiedzielibyśmy, że znak krzyża to jest wprawdzie znak męki, tak. Ale tylko częściowo. Bo krzyż w wymiarach naszego doczesnego życia to nade wszystko znak miłosnej ascezy radości heroicznej.

A potwierdza to chyba najwymowniej fakt, że są dwie tajemnice bolesne w których nie można dopatrzeć się znaku krzyża: Biczowanie i Cierniem Ukoronowanie. Dwa momenty, kiedy skrępowano powrozem nawet najmiłościwsze ręce Odwiecznego Miłosierdzia, a ręce ludzkie bez reszty zaprzedały się zbrodni. Dwa momenty, które były pokutą za dwa najcięższe grzechy człowieka: grzech pychy i grzech nieczystości. Grzechy, które są jak gdyby jednym dwutorowym odwróceniem porządku przez Boga ustanowionego. Bo zamiast w Bogu i Jego Woli, w człowieku samym i jego woli upatrują źródło i cel tych dwu największych mocy, jakimi Stwórca nas obdarzył: Twórcza potęga myśli i twórcza potęga ciała. Dopiero gdy te dwie największe zbrodnie ludzkości zostały zgładzone przez Boga Wcielonego, mogły Jego ramiona wziąć na siebie krzyż Odkupienia.

Nie wiem, Krysiu, czy właściwie uczyniłem zadość Twej prośbie. Bo o co innego Ci właściwie chodziło. Ale sądzę, że gdy wczytasz się w to wszystko, co mi się tu jakoś samo spod pióra wyrwało, i trochę nad tym porozmyślasz, zdołasz odpowiedzieć sobie sama na zawarte w Twym liście pytania. Ale jakie szczególne orędzie przynosi wymowa krzyża powołaniu do małżeństwa? Oczywiście przede wszystkim to, o którym wspomniałem Ci w poprzednim liście. Małżeństwo, choć wzrasta w ziemię i z ziemi wyrasta, powinno być jak drzewo krzyża obciosane ze wszystkiego, co tylko i wyłącznie przyrodzone. Ale rozważając dalej znak krzyża, jako syntezę dwu pozornych przeciwieństw zcalających się w logiczną strukturę, można by powiedzieć, że pierwiastki: męski i kobiecy składające się na całość małżeństwa też stoją ze sobą w sprzeczności, dopóki nie utworzą harmonijnej struktury w syntezie Krzyża. W dodatku krzyż jest obrazem postawy miłości. Postawy ustawicznej gotowości do przyjęcia, do przebaczenia. Niełatwa to postawa. Najtrudniejsza może ze wszystkich. A w małżeństwie obowiązująca w każdej chwili i w stosunku do każdego z członków rodziny. Gdy Ci już ramiona będą mdlały, gdy ręce będą ciążyły ku dołowi, by opaść bezradnie, lub zadać mściwy cios, oprzyj je o ramiona Chrystusowego Krzyża. Znajdziesz w tym oparciu rozwiązanie tajemnicy Ukrzyżowania. Postawa miłości jest

(Dokończenie na str. 23)

OPANOWANIE ZMYSŁÓW

Człowiek spośród wszystkich istot stworzonych jest bytem najdziwniejszym pod względem swej konstrukcji. Zarówno bliższe od niego twory natury, jak rośliny i zwierzęta, nie mówiąc już o przyrodzie nieorganicznej, jak i przewyższający go w hierarchii bytów aniołowie, są tworami prostymi z tego punktu widzenia, że w naturze ich nie ma fizycznej złożoności dwóch bytowo odrębnych składników. Rośliny i zwierzęta są tworami materialnymi, a aniołowie duchami i niczym więcej. Tymczasem człowiek stoi na pograniczu dwóch rodzajów bytu: materii i ducha i łączy je w sobie w jedną całość.

Ta dwoistość składników nie pozostaje jednak bez konsekwencji w dziedzinie władz, jakimi się człowiek posługuje. Nie działa on jednego typu władzami, które bądź to gatunkowo przynależałyby do któregoś z powyższych składników, bądź to byłyby stopem organicznym obu tych elementów. Nie, dwoistość części składowych pociąga za sobą dwoistość władz: cielesnych i duchowych i ta dwoistość na skutek skażenia natury ludzkiej przez grzech pierworodny — jest przyczyną nieustannego konfliktu, tarcia, walki, jaka wre przez całe życie we wnętrzu człowieka.

Spokrewniony bytowo ze zwierzęciem i aniołem nie jest człowiek jednak ani jednym, ani drugim, a choć tysiące sil ciągnie go w dół i chce oddać pod wszechwładne panowanie ciała, pewne zaś tęsknoty za nieskończonością rwą go wzwyż i chciałyby wyzwolić duszę z pęt przyziemności, to jednak rzeczą człowieka nie jest popadnięcie w żadną z tych skrajności, ale pozostanie sobą, człowiekiem, tj. istotą rządzącą się prawami ciała i ducha zarazem.

Z tych dwóch składników niewątpliwie duch mieć winien jednak pierwszeństwo, nie tylko z racji swej wyższości istotowej, ale zwłaszcza dzięki temu, że jest on w człowieku ponadto podkładem do wyższego jeszcze bytu, jakim jest łaska poświęcająca, która wszczepiona w duszę w chrzcie św. łączy człowieka z Bogiem. Toteż w tym konflikcie, w walce, jaka toczy się w człowieku pomiędzy jego władzami, duchowe władze powinny zawsze odnosić zwycięstwo, one powinny panować, władze cielesne zaś są po to, by tamtym służyć jako łącznik ze światem stworzonym, naturalnym, społecznym i kulturowym. Tak więc rozum ma rządzić zmysłami, a wola trzymać pożądania cielesne na wodzy, ale choć takie im przypadają kompetencje działania — to jednak niestety ponoszą one w walce życiowej aż nazbyt często i bolesne porażki. Ponęty świata silnie oczarowują zmysły, pod ich dyktandem pożądanie cielesne wybucha tak silnie, że owłada ono człowie-

---

(Dokończenie ze str. 22).

postawą, w której najtrudniej jest trwać. A trwać można w niej tylko jeśli się czuje za sobą drzewce Chrystusowego Krzyża, w którym jest oparcie obolałym plecom, ulga wyciągniętym ramionom.

Ale jest jeszcze jedna synteza, którą znak krzyża znaczy powołanie małżeńskie. Syntezę tę pojęły już dawne zakony. Syntezę dziewictwa i „rodzicielskości". Tych ludzi, którzy ślubowali dziewictwo dozgonne zwiemy przecie powszechnie „ojcem" i „matką". Taki już jest jedyny tytuł, jaki sobie zachowali. I słusznie. Bo mając ciała dziewicze, mają dusze nie tylko dziewicze, ale też rodzicielskie. A my w małżeństwie, mając ciała rodzicielskie, winniśmy mieć dusze nie tylko rodzicielskie, ale i dziewicze!

Jan Rybałt.

kiem i pcha go często do czynów niezgodnych z jego nadprzyrodzonym przeznaczeniem

Dwa zwłaszcza zmysły w szczególny sposób stają się pod tym względem niebezpieczne i to nie owe dwa najwyższe i najszlachetniejsze, jakimi są wzrok i słuch, ale właśnie dwa drugorzędne co do jakości, a mianowicie smak i dotyk. Są to jednak dwa bardzo ważne zmysły pod względem biologicznym.

Pierwszy z nich wiąże się ze sprawą utrzymania jednostki przy życiu. — Wprawdzie już sam głód zmusza człowieka do poszukiwania pożywienia, ale smak gra rolę pewnego rodzaju informatora o tym, które pokarmy są dla organizmu najbardziej wskazane. Wrażenia smakowe połączone są jednak z przyjemnością lub przykrością zmysłową i one to mogą wziąć górę nad normalną funkcją odżywiania się i to tak silnie, że pożądanie zmysłowe pod ich dyktandem ubezwładnia wolę, która kierowana rozumem i łaską powinna i w tej dziedzinie rządzić człowiekiem zgodnie z celem nadprzyrodzonym. Człowiek, ulegający przemocy pożądań w dziedzinie smakowej, nadużywa jedzenia i picia pod względem ilości i jakości, wskutek czego przestają one pełnić w jego życiu tę rolę, jaka im jest z natury przeznaczona. Nie służą mu już one wyłącznie do podtrzymywania życia, ale są źródłem rozkoszy zmysłowej samej dla siebie, która zażywana w nadmiarze sprowadza człowieka na bezdroża moralne różnego typu. Bezdroża te zaś są tego rodzaju, że człowiek oddając się smakowym rozkoszom cielesnym faworyzuje, na niekorzyść duszy, cielesny składnik swej natury, zbliżając się przez to raczej do świata materialnego, zwierzęcego niż do duchowego, boskiego, z którym współżyć we wieczności jest jego pierwszorzędnym celem.

Drugi zmysł, dotyku, ma również ważną rolę do spełnienia i to już nie w życiu jednostki, ale całego gatunku ludzkiego. Dostarcza on zwłaszcza silnych wrażeń w zakresie życia płciowego, a rozkosz, która z nim jest złączona skłania człowieka do pożycia seksualnego, dzięki któremu rodzaj ludzki się rozmnaża. Ale i w tej dziedzinie pogoń za wrażeniami zmysłowymi może człowieka pchnąć do nadużywania pożycia seksualnego, tak że nie służy już ono swemu właściwemu celowi, ale jest źródłem rozkoszy samej w sobie, która — podobnie jak nadużycia w jedzeniu i piciu — ściąga człowieka na manowce moralne i znów składnik cielesny, zwierzęcy bierze w nim górę nad duchowym i nadprzyrodzonym.

Lecz oto na ratunek zagrożonego w swym dążeniu do życia wiecznego człowieka przychodzi sam Bóg. Wlewa On bowiem w chwili chrztu św., wraz z łaską poświęcającą, nadprzyrodzoną cnotę umiarkowania, która przy odpowiedniej współpracy ze strony człowieka ujarzmia jego pożądanie zmysłowe i wzmacnia wolę tak, by — obejmując ster władzy w człowieku — pozwala mu ona na używanie powyższych przyjemności zmysłowych jedynie w granicach dozwolonych. Kardynalna cnota umiarkowania reguluje zatem zmysłowe życie człowieka w zakresie smaku i dotyku według wyższych zasad rozumu i wiary. Zmysły podlegają dzięki niej wierzącemu rozumowi, a uczuciom i woli daje ona tężyznę moralną, która chroni człowieka od degradacji do poziomu zwierzęcego, a nawet poniżej tego poziomu. Zwierzę bowiem nie ma rozumu, woli, wiary, rządzi się ono jedynie zmysłowymi pożądaniami, ale mądrze kierowanymi przez zdrowe instynkty — Człowiek zaś wyrzekający się w swym życiu dominowania władz duchowych nad cielesnymi staje, na poziomie zwierzęcia, ale nie mając równie sprawnych, jak ono, instynktów nie potrafi się on utrzymać na granicy zdrowej zwierzęcości, lecz spada zwykle poniżej jej poziomu, oddając się nadużyciom do jakich zwierzę nie jest zdolne.

Tej funkcji ujarzmiania w człowieku jego zmysłowych namiętności dokonuje cnota umiarkowania, dzięki dwom swoim składnikom: godności i wstydowi. Człowiek mianowicie wie i czuje,

że wskutek posiadania w swej naturze składnika duchowego i wskutek swego powołania do współżycia z Bogiem nie wolno mu zejść w swym zachowaniu się poniżej poziomu człowieczego, bo inaczej utraci swą godność człowieka. A właśnie nadużywając przyjemności smakowych w jedzeniu i piciu oraz przyjemności dotykowych w pożyciu płciowym tak łatwo o utratę tej godności. To też gdy pewne niebezpieczne czynniki ciągną człowieka ku pofolgowaniu niższym popędom swej natury na straży godności ludzkiej staje poczucie wstydu, które jest obawą przed zniesławieniem w oczach cudzych i swoich własnych. Człowiek lęka się utraty panowania nad sobą i to mu pomaga w utrzymaniu swej godności przez niepoddanie się zbytnim zakusom zmysłów. Górę w nim bierze rozum i wola, wsparte przez łaskę i wiarę i pozwalają dojść do głosu cielesnej naturze człowieka tylko w tych granicach, w jakich ma ona do tego słuszne prawo, jako istotny składnik natury ludzkiej.

Jak ważną jest więc rola cnoty umiarkowania w życiu człowieka nie trzeba chyba podkreślać. Jeśli celem jego jest współżycie z Bogiem, dzięki upodobnianiu się do niego, to nie może on pędzić życia nieujarzmionego, życia rozwiązłego, życia którego wstydziłoby się nawet zwierzę. Ale jak chwiejną jest natura ludzka, ileż pokus zewnętrznych i wewnętrznych czai się, by człowieka odwieść od jego szczytnego przeznaczenia! A pokusy te są tym bardziej upokarzające, że odciągają człowieka z prawej drogi nie mamiąc go nawet jakimś pozorem wielkości, szlachetności, świetności, ale wabiąc go po prostu najpospolitszymi przyjemnościami języka i płci.

Toteż Bóg, uzbrajając człowieka od kolebki w siłę cnoty umiarkowania, zabezpiecza go przed najniższym upodleniem, chroni go tam, gdzie upadek jego najbardziej go zniesławia, przybywa z pomocą najsłabszej pozycji człowieka, jakim jest w nim jego składnik cielesny, by przez swe nadużycia nie odciągnął duszy od jej wiecznych przeznaczeń. Wynagradza więc poniekąd człowiekowi fakt jego złączenia ze światem materialnym, równoważąc ten brak szczególną swą opieką w tej dziedzinie. Nie może więc człowiek skarżyć się na słabość swą, na swe upośledzenie, na wiecznie zagrażające mu ponęty zmysłów. Ma on w sobie dar boży, z którym współpracując sprostać może nadprzyrodzonemu swemu powołaniu Może wytrwać w walce z pokusami, może zachować swą godność człowieczą, może się nawet kusić o doskonalenie, bo ma w sobie sprzymierzeńca, który — gdy mu człowiek pozwoli dojść do głosu — sharmonizuje wszystkie jego władze i w naturę jego wprowadzi ład i pokój, dzięki podporządkowaniu zmysłowych wrażeń uczuć i pożądań smakowych i dotykowych celom, odczuciom i pożądaniom duchowym i nadprzyrodzonym.

Felicja Żurowska

Matka św. Teresy od Dzieciątka Jezus

(Zelia Guerin-Martin)

Od kilku miesięcy u państwa Martin panuje radosny nastrój wyczekiwania. Myśli Zelii i Ludwika, ich rozmowy, modlitwy, skierowane są do małego gościa, który ma nawiedzić ich dom.

Zelia głęboko przeżywa ów urywek programu dla matek chrześcijańskich, skreślony ręką biskupa Guy: „Należało by, aby szczególnie w miesiącach bezpośrednio wyprzedzających narodzenie dzieciątka, młoda matka utrzymywała swoją duszę jakby skąpaną w Bogu, który dał jej młode życie w jej sercu. Trzeba, by się stała przybytkiem owo-

cu, świątynią, ołtarzem i jakby tabernakulum; trzeba wreszcie, żeby posiadała — jeśli się można tak wyrazić — życie żywego sakramentu, sakramentu w uczynkach, pogrążając się w piersi tego Boga, który go wprawdzie ustanowił i poświęcił, ażeby z Niego mogła czerpać owo światło, piękno naturalne i nadprzyrodzone i wszystkie zalety i dary, jakie Bóg chce przez nią dziecku udzielić".

W dniu 22 lutego 1860 przeżywa Zelia szczęście i radość macierzyństwa. Na wspomnienie owej pamiętnej chwili — po siedmiu latach — będzie pisała do swej bratowej: „Czy to, co mi zwierzasz, nie jest przypadkiem nadzieją zostania matką? Oto przyjdą małe troski, ale pośród nich będzie i wiele radości. Dowiedziałam się od ojca, że byłaś chorą; ja tak samo cierpiałam przy mojej pierwszej córeczce i myślałam, że wszystko stracone i płakałam, bo tak bardzo pragnęłam mieć dziecko. Ale okazało się, że próżne były moje obawy. Nic jej to nie zaszkodziło i moja mała przyszła na świat w porę i była bardzo silna".

Owo szczęśliwe pierwsze dziecię państwa Martin otrzymało na chrzcie św. imię: Maria-Paulina. Jej narodziny skąpane było w blaskach rocznego okresu dziewiczości, w jakim przyżyli małżonkowie przyszłych dziewięciorga dzieci. Zachowane notatki pana Martin świadczą, że on dobrze przemyślał teologiczną możność i wartość małżeństwa w stanie dziewictwa, na wzór Matki Niepokalanej i św. Józefa, mimo głębokich pragnień macierzyństwa, przystała na propozycję swego świątobliwego małżonka.

Dopiero nowe natchnienia Boże, wyraźna interwencja spowiednika, sprawiły zmianę poglądu u pp. Martin na rolę i zadania małżeństwa w katolickim oświetleniu i przeznaczeniu.

Od owej szczęśliwej chwili Ludwikowie Martin dowiodą, że „zaślubiny nie są wcale przylądkiem nawałnic, gdzie utonąć m u s z ą wszystkie marzenia i postanowienia świętości"; dowiodą, że właśnie małżeństwo może stać się punktem wyjścia, odskocznią niejako do zdobycia świętości, by wspinać się tym ż a r l i w i e j, skoro idzie się we dwoje.

Od narodzin pierwszego swego dzieciątka Zelia wiernie będzie realizowała modlitwę, którą zanosiła do Boga jeszcze przed zamążpójściem. Nie lęka się bólu, ni trudu ofiary. Zgodziła się pójść tą drogą powołania do chrześcijańskiej doskonałości. Chce dotrzymać słowa. Konsekwentnie i teraz ujmuje program swego życia małżonki w tych dwóch wytycznych: „Boże, daj mi dużo dzieci; Boże spraw, aby one wszystkie były Tobie p o ś w i ę c o n e".

Z namysłem napisze kiedyś właśnie do swej najstarszej córki, Paulinki, jako pensjonarki: „Gdyśmy już mieli dzieci, nasze zapatrywania trochę się zmieniły. Żyliśmy odtąd jedynie dla nich; to było c a ł e n a s z e s z c z ę ś c i e, i tylko w nich je znajdowaliśmy. Zresztą nic nas to nie kosztowało. — Świat przestał być dla nas ciężarem. Dla mnie zaszczyt macierzyństwa stanowił zbyt wielką nagrodę; toteż pragnęłam ich mieć dużo, ażeby je wychować dla nieba".

I całe dwadzieścia lat życia w małżeństwie dla naszej Zelii, były niczym innym jak właśnie jednym pasmem radości i smutków matki.

I trudno nie podzielać jej matczynej radości, gdy na przykład odczyta się ów urywek listu Zelii, w którym opisuje swe ósme z kolei dziecko — szesnastomiesięczną Celinkę: „Włożyłam jej po raz pierwszy w uroczystość Bożego Ciała piękną sukienkę podarowaną jej przez chrzestną matkę. Gdybyście widzieli, jak jej w niej było do twarzy... Wszyscy się zachwycali i zapewniam was, że byłam dumną z mojej córki. Miała ładny kapelusz z białym piórkiem, wszystko tworzyło zachwycającą całość: nabrałam zamiłowania upodobania do ubierania jej na biało. Teraz wychodzi zawsze w białych sukienkach, zupełnie prostych, ale ona taka w nich piękna! (list do bratowej z 19 lipca 1870 r.).

Albo inny weźmy urywek listu p. Zelii (będzie w nim mowa o przyszłej „Świętej z różami"), aby jeszcze do-

bitniej przekonać się, jak serca matek podobne są w swych przeżyciach: „Nie ma milszego dziecka nad Terenię. Wydaje mi się, że będzie miała dobry charakter; uśmiecha się nieustannie i ma coś w wyrazie twarzy, co wskazuje, że należy do wybranych.

Moja mała Terenia już od czwartku umie chodzić sama. Jest słodka i milutka jak mały aniołek, bardzo rozwinięta na swój wiek. Tak bardzo chciałabym by była z nami!

Jestem taka szczęśliwa, że ją mam. Myślę, że to będzie ostatnie moje dziecko... Zachwycam się jej małymi usteczkami, o których mamka mówiła, że są „duże jak oko".

Ale — jak widzimy — ta ostatnia radość matczynego serca przyćmiona jest cieniami smutku. Wszak — zauważmy — Zelia pisze powyżej w liście: „Tak bardzo chciałabym, by była z nami!" Istotnie, małej Tereni matka nie miała w swoim rodzinnym domu. Stopniowy rozwój choroby pozbawił Zelię pokarmu; stąd zmuszona była umieścić swą Terenię na wsi u mamki, o której wyżej wspomina. Dopiero piętnastomiesięczna Terenia powróci na stałe do domu i rozjaśni swym „tajemniczym uśmiechem" rodzinne ognisko pp. Martin.

Zaznała i nasza Zelia wiele „krzyżów" życia matczynego.

Zaznała wiele udręki, nocy bezsennych, wyczerpania pośród nierzadko zdarzających się chorób swych dzieci. Oto mały urywek z listu Zelii do jej brata, świadczący o bolesnych przeżyciach matki: „Martwię się ogromnie, obawiam się, czy ona (Terenia) nie jest chora na kiszki, bo zauważam u niej te same niepokojące objawy, co u innych moich dzieci, które mi zmarły. Czyż trzeba będzie i ją stracić?.. Jestem bardzo strwożona. Nie sypiam więcej niż dwie godziny w nocy, bo stale prawie przebywam przy małej, która od jakiegoś czasu przez pewną część nocy jest bardzo niespokojna".

A kiedy „anielska Terenia" będzie na pograniczu życia i śmierci, zbolałe serce matki posunie się aż do heroicznej ufności w stawiennictwo św. Józefa. — „Prędko weszłam — pisze — do mego pokoju; uklękłam przed św. Józefem i gorąco prosiłam Go o łaskę, by moja mała wyzdrowiała, poddając się jednocześnie woli Bożej, o ile by zechciał zabrać ją do siebie. Ja nie płaczę często, ale wtedy łzy mi płynęły..."

Ale tym razem św. Józef wysłuchał.

Bóg zażąda i przyjmie od niej ofiarę z czterech maleńkich dziatek. Nawet trzeba jej było złożyć ofiarę dla Boga z życia wymodlonych i wytęsknionych dwóch Józefów. Żaden z nich nie doczeka jednej wiosny życia. A Zelia i Ludwik marzyli o nich jako o przyszłych kapłanach i misjonarzach...

Ból jednakże Zelii, nawet po stracie najukochańszego dziecka, nigdy nie miał nic w sobie z rozpaczy. Przeciwnie, był zawsze osłodzony kojącym balsamem umiłowania ponad wszystko planów Opatrzności Bożej. Planów dla nas niejednokrotnie niezrozumiałych, jednakże zawsze przemądrych i przedobrych. Przekonamy się o nastawieniu duszy Zelii w podobnych bolesnych przeżyciach, gdy odczytamy jej list do bratowej, która wkrótce po urodzeniu, straciła syna. „Nieszczęście, które cię spotkało — pisze Zelia — głęboko mnie zasmuciło. Jesteś doprawdy bardzo doświadczoną. Ale to jedno z pierwszych twoich zmartwień, droga moja. Niech ci Bóg da umiejętność pogodzenia się z Jego świętą wolą. Wszak twoje ukochane dzieciątko jest u Niego .Ono ciebie widzi i kocha i odnajdziesz je kiedyś. To jest ta wielka pociecha, którą odczuwam i którą czuję jeszcze...

Gdy zamykałam oczy biednych dzieci i gdy je grzebałam, doznawałam wiele bólu, ale ten ból mój zawsze był pełen rezygnacji, zdania się na wolę Bożą. Nie żałowałam cierpień i trosk, które dla nich poniosłam. — Niektórzy mi wprawdzie mówili: „Lepiej było nigdy nie mieć ich wcale". — Nie mogłam słuchać podobnych słów... Uważam, że cierpienia i troski nie mogą się nigdy równać z wiecznym szczęściem moich dzieci. Zresztą nie straciłam je na zawsze; życie jest krótkie i pełne nędzy; odnajdę je tam wy

soko. Szczególnie przy śmierci pierwszego odczułam żywo to szczęście, płynące z nadziei, że będę miała dziecko w niebie. Wszak Pan Bóg w sposób wyraźny dowiódł mi tego, że przyjął moją ofiarę. Otrzymałam wtedy za przyczyną mego maleństwa pewną łaskę bardzo niezwykłą". (list p. Martin do bratowej z dnia 17 października 1871 r.).

Lecz prócz nawiedzin choroby i śmierci swych dziatek, zaznała Zelia i innego rodzaju „matczynego krzyża". Zakosztowała — rzecz dziwna — goryczy krzyża, złączonego z wychowaniem dzieci. Bo o ile Paulinka, Marynia, Celinka i najmłodsza Terenia nie stwarzały poważniejszych trudności w kształtowaniu ich serca i umysłu, to natomiast wychowanie Leonii było — jak sama Zelia wyzna — „ciężkim krzyżem". Ale też Zelia poniesie ów krzyż z anielską cierpliwością i wytrwałością. Poniesie do chwili, w której — dzięki modłom matki oraz jej rodzonej siostry wizytki a ciotki Leonii, dzięki intuicyjnej dobroci p. Martin — przyjdzie Pan Bóg z pomocą: stopi lody „przekornej córy" i otworzy jej serce na zbawcze wpływy matki i łaski.

Oto radosne słowa listu Zelii, świadczące o dokonanej już przemianie, o dokonanym już „nawróceniu" jej Leonci — dziecka łez i matczynych modłów: „Ma do mnie bezgraniczne zaufanie... Posuwa je tak daleko, że wyjawia mi swe najmniejsze przewinienia. Obecnie chce naprawdę odmienić swe życie i czyni w tym celu wiele wysiłków, których nikt lepiej ode mnie nie może ocenić.

Nie mogę jednakże wyzbyć się tej myśli, że tę przemianę (Leonci) zawdzięczam modlitwom mojej świętej siostry, bo wszak wszystko się zmieniło w dwa czy trzy tygodnie po jej śmierci. Ona też wyprosiła mi łaskę umiejętności zdobycia zaufania jej serca i mam nadzieję, że Pan Bóg pozwoli mi dopełnić zadania, które jest jeszcze dalekie do ukończenia. Istotnie, trzeba czasu, żeby pokonać taką naturę i widzę jasno, że mnie ta misja została powierzona i że nikt inny nie mógłby jej spełnić. Nawet zakonnice wizytki: one odesłałyby dziecko z powrotem do domu, jak to już raz uczyniły". (list p. Martin do bratowej z dnia 10 maja 1877 r.).

Nie bez słuszności, zaraz na początku swego listu Zelia podkreśla „bezgraniczne zaufanie" Leonii. Bo — jak intuicją matczynego serca Zelia odkryła — cała tajemnica trudności i niepowodzeń w wychowaniu Leonii kryła się w tym, że niespostrzeżenie pomocnica domowa pp. Martin, wydarła z młodego serduszka Leonci szczere zaufanie do matki. Leonia wzrastała zastraszona srogim „autorytetem" swej opiekunki.

Dopiero po tym rewelacyjnym i wymodlonym odkryciu Zelia zaczęła wychowywanie Leonii „od nowa", na niewzruszonym fundamencie zaufania dziecka do matki. Zelia rozpoczęła swą pracę matki „nad trudnym dzieckiem" z wyrozumiałością i taktem oraz długomyślnością nietyle psychologa-wychowawcy, jak raczej matki-anioła. I praca jej i jej opieka już spoza grobu — będzie uwieńczona jakże pomyślnym i nieoczekiwanym skutkiem: Leonia, z własnego wyboru, stanie się również jednym z dzieci pp. Martin poświęconym Bogu. Stanie się wizytką.

Tu miejsce, gdzieby wypadało wspomnieć o sposobach i metodach wychowawczych Zelii. Temat ten jednakże odłożymy do osobnego rozdziału. Tutaj podkreślimy tylko, że tajemnicą wychowania p. Martin leżała w stosowaniu uwiecznionej metody w „Dziejach duszy" i na drodze dziecięctwa duchownego — metody „składania małych ofiar", sypania „płatków róż" pod stopy Zbawiciela. Czyli, innymi słowy, przyzwyczajanie dziecka, by ono działało z pobudek nadprzyrodzonych: nie zasmucać Jezusa, sprawić przyjemność Jezusowi.

Jeszcze jedno godne jest uwagi Łącząc się z troskami i radościami p. Martin, podświadomie pragnęlibyśmy wiedzieć, skąd ta matka dziewię-

ciorga dzieci czerpała siłę, by podołać zadaniu? Ciekawi jesteśmy, skąd czerpała środki materialne, potrzebne na utrzymanie licznej rodziny?

Znając życie i czytając obszerną korespondencję Zelii, odpowiedź będzie nietrudna. Pani Martin swą ofiarną macierzyńską miłość czerpała z Najśw. Ofiary. Dopóki mogła poruszać się o własnych siłach, codziennie uczestniczyła we Mszy św. W codzienne dni pracy słuchała Mszy św. wpół do szóstej rano. Co pierwsze piątki miesiąca Zelia zwykle komunikowała. Oczywiście Komunia św. wówczas była „monopolem" niewielu dusz wybranych. Była marzeniem zarówno Zelii, jak i przyszłego papieża Piusa X.

A środki materialne? Po prostu, powiedzmy w jednym słowie: z pracy. Od wczesnego ranka do późnej nocy Zelia ciężko pracowała. Pracowała zawodowo jako fabrykantka koronek, pracowała jako gospodyni domu i wychowawczyni dzieci. Zelia kładła się zwykle zawsze później na spoczynek, aniżeli nawet jej pomocnica domowa. Na kilka tygodni przed śmiercią, jeszcze czuła się szczęśliwą, że pomimo unieruchomienia lewej ręki, w prawej będzie mogła trzymać igłę.

* * *

Paulinka, najstarsza z córek Zelii, przechowała takie wspomnienie z życia swej matki: „Gdy byłam maleńką — pisze o sobie wspomniana córka — mamusia brała mnie często na kolana i opowiadała mi żywoty świętych. Pewnego razu powiedziała mi, że w niebie tylko dziewice będą postępowały wszędzie za Barankiem bez zmazy, Jezusem; że tylko dziewice będą miały wianki z białych róż i będą śpiewały pieśń, której inni nie będą mogli śpiewać. Wtedy ja powiedziałam, że chcę być dziewicą z pięknym białym wiankiem. I zdziwiona spytałam, jakiego zatem koloru będzie wianek mamusi, skoro osoby zamężne nie będą miały białego wianka. Mamusia odpowiedziała mi: „my zapewne, otrzymamy wianek *z czerwonych róż...*"

O tak. Z czystym sumieniem i poczuciem spełnionych zadań — dobrej matki i wiernej kochającej żony — mogła powiedzieć Zelia: „my, matki, otrzymamy wianek z czerwonych róż".

Zelia istotnie stała się „męczennicą". Męczennicą wprawdzie przez jednorazowe przelanie krwi, ale składała swą krew w ofierze przez całe swe życie w małżeństwie. Nie żałowała ni trudów ni bólu ni trosk matczynych. Dlatego stała się matką dziewięciorga dzieci. Nie żałowała przelewać swej krwi, choć już tak niewiele jej miała, dlatego jej właśnie ostatnie dziecko będzie koroną chwały. „Czerwonym" ale i białym wiankiem niewinności.

O tak! Jakże słusznie w proroczym uniesieniu mogła Zelia powiedzieć o swej Tereni: *„Jakże ja jestem szczęśliwa, że ją mam!"*

Z górą po pięćdziesięciu latach znowu mógł podobne słowa powtórzyć wielki kardynał Mercier: „Ach, jakże jestem szczęśliwy, bo wiem, jaką nagrodą dla przykładnych małżeństw jest właśnie św. Teresa od Dzieciątka Jezus!"

Zelia przez całe swe życie pragnęła dać Bogu, spośród swych dzieci kapłanów i misjonarzy. Mimo bolesnych ofiar — mamy tu na myśli przedwczesną śmierć jej dwóch synów — mimo napozór zawiedzionych nadziei, Bóg w nieskończonej Swej dobroci, przewyższył najśmielsze pragnienia matczynego serca. Bo oto Zelia stała się maką nie jednego kapłana i niejednego misjonarza, ale matką „Patronki misjonarzy".

Nie jednego, ale wszystkich.

To jeszcze jedna róża więcej na wianek nagrody dla wiernej matki Wiernej w dochowaniu dziewiczej czystości. Wiernej w dochowaniu świętych zobowiązań „wielkiego sakramentu".

Opr. o. *Rudolf*, k. b.

ZA WOLĄ BOŻĄ

W zapadającym zmroku cieniem zasnuwają się opustoszałe nawy kościelne. W szybko następujących ciemnościach coraz wyraźniej odcina się rzucająca czerwone refleksy, zawieszona przed głównym ołtarzem lampka wieczysta.

Odblask jej pada również na klęczącą przy balustradzie młodą dziewczynę. Zatopiona jest w modlitwie Z pomiędzy przysłaniających jej twarz dłoni spływają łzy, a bolesny szloch wstrząsa smukłą postacią.

Trudno, o jak niewymownie trudno poddać się woli Bożej, usłyszanej w orzeczeniu lekarskim, a jednak choć cała natura wzdryga się przeciwko niemu, przybyła tu natychmiast, by uprosić sobie łaskę poddania

— Gruźlica płuc — nadeszła zdradziecko, nieoczekiwanie rujnując tajemnie młody organizm, przekreślając bezwzględnie wytyczoną jasną przyszłość, a wzamian...

Długie uciążliwe leczenie po sanatoriach, oddalenie może na lata całe, od przyjaciół, Zdzisława, a pomyślne wyniki tak bardzo wątpliwe. Jakże Zdzisław to przyjmie? On, co na samotne jej życie rzucił słoneczny promyk radości, co kocha ją tak bardzo, tak cieszy się na rychłe ukończenie studiów, by mogli pobrać się bezzwłocznie. I jak mu donieść, że oto nie zostanie jego żoną? Bo zwrócenie pierścionka, zerwanie zaręczyn w tych warunkach jest pierwszym jej obowiązkiem.

Brzęk kluczy zakrystiana, zamykającego kościół, wyrywa-ją z rozmyślań. Halina powstaje z klęczek i cicho wysuwa się z kościoła.

— — — — — — —

Jasne korytarze, w przejściu dostrzegane szeregi łóżek w lśniących czystością salach, białe kitle lekarzy i pielęgniarek — oto pierwsze, chaotyczne rzucające się w oczy wrażenia przybyłej na sanatoryjne leczenie, zmęczonej podróżą, przygnębionej Haliny. Niechże się pani nie martwi — pociesza ją niebawem po wstępnym badaniu lekarz naczelny Dr Ł-ski. Zrobimy drogie dziecko wszystko, co w naszej mocy, aby pokonać chorobę. Mamy dziś po temu tyle środków, nigdy nie należy tracić nadziei.

Bystre i rozumne spojrzenie lekarza zza szkieł, z dobrocią i szczerym współczuciem wnika w nieznaną, przepojoną smutkiem twarzyczkę dziewczęcia. Ręka jego przyjemnie gładzi jej dłoń. — „Czy przyrzeka mi pani być posłuszną i starać się nie trapić?“

— O tak, panie doktorze. Ja tak pragnę być zdrową. Narzeczony...

Wzrok jej mimo woli pada na lśniący szmaragd na palcu. Zdzisław nie przyjął zwrotu pierścionka. Nie chciał tracić nadziei, której klejnot pierścionka jest symbolem. I ona tracić jej nie będzie, choćby tylko już dla niego. Serdeczne słowa lekarza napełniają otuchą.

— Rozumiem panią — naturalnie, tym więcej nie wolno się pani przygnębiać. Mamy właśnie wolną separatkę. Siostra skieruje tam panią. Lepiej tam pani będzie.

— Dziękuję — pierwszy od chwili rozpoczęcia podróży uśmiech rozchyla wargi Haliny, — pan taki dobry.

— Od tego tu jestem, aby ulżyć cierpieniom, odwzajemnia się doktór uśmiechem. — No, proszę być dobrej myśli. Wspólnie rozpoczniemy walkę; ale musi mi pani dzielnie pomagać, a tym samym proszę spojrzeć, jak tu pięknie u nas.

Odsunięta u okna firanka ukazuje oczom Haliny rozłożyste świerki alei parkowej, a w oddali za nimi rysujące się na horyzoncie zarysy gór. Może Bóg da, że wróci jej tu zdrowie.

Na wejście wezwanej Siostry doktór ujmuje dłoń dziewczyny mocnym uściskiem.

— Do jutra zatem. Proszę się zaraz położyć, wypocząć, a potem usnąć spokojnie. Zapytam o wyniki tego polecenia.

Gdy za chwilę pozostaje sam, pogodna twarz jego zmienia swój wyraz

Osiada na niej znużenie i smutek. Stykając się ustawicznie z jednym z największych ludzkich cierpień zacny ten człowiek na każdy jego nowy objaw nie może pozostać obojętny. I teraz przesuwa dłoń po oczach ruchem zgnębienia. Wie, że stan Haliny jest bardzo ciężki, niemal bez możności ratunku.

W atmosferze życzliwości i sympatii Halina psychicznie zwolna przychodzi do siebie. Uświadomiona przez dra Ł-skiego o niebezpiecznym jej stanie, przejęte współczuciem siostry, otaczają ją zarówno z jego polecenia, jak i własnego impulsu troskliwym staraniem. Serdeczność otoczenia w dużej mierze koi tęsknotę rozstania, trwogę przyszłości. Niemal całodzienne leżakowanie daje niestety wiele możliwości smutnych rozważań. Nadchodzą ciężkie zmagania, zwątpienia i bunty uciszane modlitwą poddania, to znów wyrywająca się ku życiu młodość właściwym sobie prawem snuje pasmo nadziei w sercu dziewczyny, rwie się ono natomiast ustawicznie u dra Ł-skiego. Doświadczone jego oczy z trwogą dostrzegają powolny, lecz ciągły rozwój choroby. Wzmożona jego czujność nie jest w stanie temu zapobiec, a tak serdecznie żal mu młodego życia Haliny. Z opowiadań jej znane mu są dzieje jej miłości do Zdzisława. Tak pragnie szczęścia obojga.

Upływają tygodnie cierpień, nadziei i trwogi o ludzkie istnienie w jasnych murach sanatorium. Wciąż i wciąż zmieniają się przybysze.

Halina nadal spędza czas na leżaku. Coraz więcej opada ze sił. Wysoka gorączka powoduje u niej apatię na zjawiska zewnętrzne. Nawet pełne uczucia listy Zdzisława nie są w stanie jej należycie ożywić. Dr. Ł-skiemu opadają ręce. Wobec postępu choroby staje się najzupełniej bezsilny. — Zdaje sobie sprawę, że będzie musiał ustąpić.

Do głosu natomiast przychodzi kapelan, który co raz częściej odwiedza chorą i w długich rozmowach zwolna przygotowuje ją do podróży, z której już nie ma odwrotu. Pod jego wpływem cicha rezygnacja wstępuje w serce Haliny.

Toteż ze zdziwieniem widzi ją któregoś dnia Dr Ł-ski w niezwykłym podnieceniu. Na kolanach jej spoczywa odebrany z poczty list.

Panie doktorze — wita go gorączkowo — Zdzisław donosi mi o zdaniu egzaminu dyplomowego. Kiedy pomyślę, że mieliśmy zaraz po nim rozpocząć wspólne życie! — Marzyliśmy o domku za miastem, gdy miał rozpocząć praktykę lekarską, a tymczasem może go nawet już nie zobaczę...

— Cicho, dziecko. Cóż znowu. Dr Ł-ski delikatnym ruchem unosi pochyloną główkę i patrzy w pełne łez oczy dziewczyny. Nie może się pani tak przejmować. Zdzisław mógłby teraz przyjechać...

— Przecież nie wolno...

— W zasadzie tak. Dopuszczalne są jednak wyjątki. Skoro ja to proponuję...

— Panie doktorze! Gdyby to było możliwe.

— Ależ, oczywiście. Pani jest za słaba, ja sam do niego napiszę...

I uczynił to on, który umiał być najlepszym przyjacielem swoich pacjentów. W oględnych słowach przedstawił stan Haliny, nie rokujący nadziei... A w parę dni później, młody lekarz pochyla się już nad dłonią narzeczonej. W długiej rozmowie, ze ściśniętym sercem, hamując wybuchy rozpaczy, wbrew własnemu przekonaniu, stara się wzbudzać w niej chęć do życia, otuchę do przyszłości.

Ale Halina nie wierzy. Zbyt już jest wyczerpana. Szamotanie wewnętrzne, pod wpływem kapelana dawno przycichło

— Nie, kochany! Nie taką jest wola Boża, — mówi spokojnie. Wiem, że odejdę. Widać w jakimś celu potrzebne to jest Bogu. Co my rozumiemy? Dużo o tym myślałam w samotności. I postanowiłam przyjąć śmierć z poddaniem, by wzamian uprosić ci najpiękniejsze życie. Innego wszak dowodu miłości dać ci nie jestem w stanie. Praca w twoim zawodzie powinna ci dać po temu wiele możliwości i zado-

wolenia. Z czasem o mnie zapomnisz, a wtedy...

— Nigdy to nie nastąpi. Ale na Boga, to być nie może. Musisz być zdrowa!

— Cicho Zdzisławie! I pamiętaj, że Bóg wszystko czyni z miłości. A teraz trzeba nam się pożegnać. Czas ci na pociąg.

— O tak. Postaraj się! Nie chciałbym, aby to było nasze widzenie ostatnie.

Stało się nim jednak. Okoliczności nie pozwoliły Zdzisławowi na przyjazd, a tymczasem w cichy, jesienny dzień, gdy nitki babiego lata snuły się w prześwietlonym promieniami słońca powietrzu Halina odeszła cicho w zaświaty...

— — — — — — —

W jakiś czas potem u furty Ks. Ks. Misjonarzy stawił się młody lekarz, gotowy do drogi na daleką placówkę misyjną.

Maria Jelińska.

ŻYCIE KATOLICKIE

* Na wniosek Rady gminnej miejscowości, w której urodził się błog. Pius X, rada prowincji Treviso zmieniła nazwę tej miejscowości na „Rio Pie X".

* We wrześniu br. zostało wyświęconych na kapłanów w seminarium Nyabikanda (Środkowa Afryka) 29 Murzynów. Seminarium wspomniane, w którym kształcą się seminarzyści z różnych wikariatów zostało założone w 1904 r. przez OO. Białych. Od czasu powstania seminarium aż do roku 1942 przeszło przezeń 343 alumnów, z czego do kapłaństwa doszło 107, co nie jest mało wobec tego, iż całe kształcenie trwa aż 9 lat. Obecnie seminarium liczy 90 alumnów. Poziomem swoim dorównuje seminariom europejskim. Program nauczania obejmuje nauki teologiczne i społeczne.

* W Padwie ogłoszono wpisy do Kolegium Uniwersyteckiego dla Kandydatów na Misyjnych Lekarzy. Zgłaszać się mogą studenci medycyny, którzy gotowi są wykonywać swój zawód na terenach misyjnych i w służbie misji.

* W związku z obchodzoną poraz pierwszy po ogłoszeniu dogmatu uroczystością Wniebowzięcia N. M. P. odbyły się w Efezie, prawdopodobnym miejscu zaśnięcia N. Maryi P. uroczystości. W pobliżu Efezu w miejscowości wskazanej przez tradycję, noszącej nazwę: „Panagia Kapulu" dokonał arcybiskup Smyrny Józef Descuffi otwarcia kaplicy, która została niedawno odbudowana. Po poświęceniu kaplicy odprawił na placu przed kaplicą Mszę św. Na uroczystość tę przybyło wielu pielgrzymów ze Smyrny, Ankary i Konstantynopola, w liczbie kilkuset.

W tym samym dniu, tj. w niedzielę, 19 sierpnia dwóch księży szwajcarskich odprawiło w katedrze poświęconej św. Janowi Ewangeliście w Efezie Mszę św. po raz pierwszy po jedenastoletniej przerwie.

* Ojciec Poidebard T. J., francuski archeolog został za swoje odkrycie na Bliskim Wschodzie odznaczony przez rząd francuski „Medalem Lotnictwa". Dziwna nagroda staje się zrozumiała, gdy się dowiemy, że O. Poidebard w badaniach swoich zastosował nową metodę poszukiwania miejsc historycznych, mianowicie fotografiką z samolotu starożytne miejscowości egipskie, zasypane piaskiem. Dzięki udoskonalonej fotografice lotniczej przyczynił się on wiele do postępu archeologii w ostatnich 25 latach, wskutek czego odkryto takie miasta, jak Tyr, Sydon i Kartagine, oraz wiele innych obiektów w Azjii i Afryce.

* Nawrócony z anglikanizmu M. Reynolds w r. 1933 otrzymał ostatnio w opactwie Westminsterskim święcenia kapłańskie w 78 roku życia.

Bibl. Jagl.

TREŚĆ NUMERU

„POD OPIEKĄ Św. JÓZEFA"

Miesięcznik dla Rodzin Katolickich.

Za pozwoleniem Władzy Duchownej. i Zakonnej 9833/51

Redaguje Kolegium

Adres Redakcji:
Redakcja „Pod Opieką św. Józefa"
Kraków
ul. Rakowicka 18

Konto:
Wydawnictwo Karmelitów Bosych
Kraków
PKO. Kraków Nr IV—842 113

Adres dla spraw prenumeraty:
Państwowe Przedsiębiorstwo Kolportażu
„Ruch" Oddział w Krakowie
ul. Lubicz 42
Konto: Państwowe Przedsiębiorstwo
Kolportażu „Ruch" Kraków
Dział Prenumeraty Pocztowej
Wydawnictwo Religijne i Naukowe
PKO. Kraków Nr IV — 9451/110

Cena pojedynczego numeru 1.50 zł.

KRAKOWSKIE ZAKŁADY GRAFICZNE ZAKŁAD 7 — KRAKÓW

M-2-21990 Druk ukończono 10. XII. 1951 r. Nakład: 7.000 508